



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocz 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Urywek z dzieła Alfonsa Karra pod tytułem: Podróż po moim ogrodzie — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elizę Orzeszkową. — Korespondencja z Paryża. — Pogadanka. — Ustęp z pobytu w dolinie Grindelwald. — Przegląd muzyczny. — O ubiorach.

URYWEK Z DZIEŁA ALFONSA KARRA

pod tytułem

Podróż po moim ogrodzie.

Przed parą laty, pewnego dnia wieczorem, wybrałem się odwiedzić bliską moją sąsiadkę w podeszłym już wieku będącą, lecz bardzo miłą, dowcipną i łatwą w obejściu osobę. Sąsiadka moja nadzwyczaj lubiła kwiaty; trudno uwierzyć z jaką troskliwością związałem dla niej bukiety, i ile cieszyło mnie jej zdziwienie i radość, gdym jej ofiarowałem jakiś kwiat nieznaną jej, lub też nieznaną w naszej okolicy.

Przyszedszy do niej, zastałem tam pewnego podeszłego jegomości, który od roku już objął w posiadanie w bliskości znaczny ziemski majątek, odziedziczony po jakimś dalekim krewnym, z warunkiem przyjęcia nazwiska darowanego majątku, Decoudrais. Pan Decoudrais w krótkie zabrał znajomość z moją starą przyjaciółką, ja zaś z prawdziwą zazdrością patrzyłem na jego sprzedające dla niej grzeźności. Wkrótce też zaprzyjaźnili się tak, że prawie codziennie przepędzali wieczory wspólnie zabawiając się w tryktraka. Jednego dnia poszedłszy do mojej sąsiadki, pokłoniłem się, oczekując w milczeniu na ukończenie partji, i potem ofiarowałem jej bukiet z złotych róż, który dla niej umyślnie przyniosłem. Róże były nadzwyczaj piękne, a pani Lorgereł nie mogła się ich dosyć nachwalić. Pan Decoudrais milczał i zdawał się być zamyślony. Z podziwieniem patrzyłem na niego, — nie mógł zrozumieć tajemniczego wpływu, jaki nań wywarły przyniesione róże; lecz wkrótce pani Lorgereł zaczęła mówić o czem inszem, i sądziłem że to było moje tylko przywidzenie.

Jednakże p. Decoudrais roześmiał się i rzekł: czy uwierzycie, że ten bukiet jakby czarodziejską siłą, wywołał przed oczy moje całą jedną bardzo ważną chwilę mój młodości. Przez pięć minut byłem zakochany w pewnej kobiecie, która teraz powinna mieć około lat sześćdziesiąt, jeżeli jeszcze żyje. Muszę wam opowiedzieć tę historję, jest to okoliczność, która wywarła wielki wpływ na całe moje życie, i której wspomnienie, dziś jeszcze, kiedy krew moja tyle tylko ma ciepła, ile potrzeba żeby żyć i grać w pufę, wzrusza mnie jeszcze nadzwyczajnie.

Miałem ówczas lat 20, jest temu zatem już przeszło lat 40; dopiero co ukończyłem szkoły, w których młodzież ówczesną zatrzymywano dłużej niż dzisiaj. Gdy ojciec mój rozważywszy za mnie lecz beze mnie,

wszystkie okoliczności odnoszące się do wyboru stanu, oświadczył mi pewnego poranku, że wyjednał dla mnie stopień porucznika w pułku stojącym garnizonem w Owernji, i że za trzy dni mam być gotów do podróży.

Zmieszalo mnie to niemiernie, bo nie czułem wielkiego powołania do stanu wojskowego; trudność ta jednak z łatwością jeszcze byłaby usunięta. Wszak świetnego mundur, kilka słów pobudzających ambicję, trochę muzyki, zrobiłoby ze mnie do wyboru Achileśa lub Cezara, — ale byłem zakochany!

Za nic w świecie nie odważyłbym się pisać słowa o tem mojemu ojcu, całą odpowiedzią jego na moje zwierzenie byłby rozkaz wyjazdu tego jeszcze wieczoru; lecz miałem wuję i jakiego jeszcze wuj!

Był to człowiek tego samego wieku jak ja mam dzisiaj, lecz pozostał zawsze młodym; nie dla siebie, gdyż żaden starzec z łatwiejszą jak on rezygnacją nie wyrzekł się szatana spraw jego i ponęt, lecz dla drugich. Lubił młodzież, rozumiał ją i niezazdrościł jej. Nie sądził, że ułomności jego wieku są postępem i że starość jest koniecznie mądrością. W skutek wrodzonej dobroci i rozsądku, żył szczęściem drugich.

Mieszkał się do wszystkich szlachetnych pustot i z serca płynących niedorzeczności młodzieży; był powiernikiem i protektorem wszystkich miłosnych uczuć długów i marzeń. Poszedłem do niego i rzekłem: Wujaszku jestem nieszczęśliwy!

— Zakochał się o 20 luidorów że to nie prawda, odpowiedział mi.

— Ależ wujaszku nie żartuj, przegrałbyś.

— Jeżeli przegram to zapłacę; a może to cię pocieszy w twojem nieszczęściu.

— Nie wujaszku, pieniądze nie mają nie wspólnego z mojem nieszczęściem.

— Powiedz że mi o co idzie.

— Ojciec mi oświadczył, że zostałem porucznikiem w pułku.**

— A to mi wielkie nieszczęście! mundur świetny, oficerowie sama wyborowa młodzież.

— Kiedy ja nie życzę sobie służyć w wojsku.

— Jakto? nie chcesz być żołnierzem? czybyś przypadkiem miał być tchorzem?

— Nie wiem jeszcze tego; lecz tobie tylko wujaszku pozwolę sobie uczynić podobne zapytanie.

— Dobrze więc, mój przyjacielu: lecz dla czegoż nie chcesz być żołnierzem?

— Ponieważ chciałbym się ożenić.

— Tam do kata!

— To nie żarty, wujaszku, jestem zakochany.

— Ce! i ty nazywasz to nieszczęściem, niewdzięczniku! Cóżbym ja dał za to, żebym mógł być zakochanym! Lecz cóż to jest za przedmiot tak pięknych zapalów?

— Wujaszku, to anioł!

— Wiem, wiem, zawsze bywa aniołem. Później będziesz wołał kobietę. Z tem wszystkim powiedz, jakim ludzkim imieniem wabi się ten anioł?

— Imię jej, Noemi.

— Nie o to się pytam — dla ciebie Noemi, to dosyć, lecz ja chciałbym wiedzieć: czem jest ten anioł, z jakiej rodziny, jakie nosi nazwisko?

— Nazywa się panna Amelot.

— Ho, ho, to lepsze jak anioł; brunetka, wysoka, smagła, z aksamitno-czarnymi oczyma. Gust twój pochwalam.

— Lecz wujaszku, gdybyś poznał jej piękną duszę!

— Rozumiem już, rozumiem... ale czy masz jej wzajemność?

— Tego nie wiem.

— Jako! ty niegodny siostrzeńcze swojego wuja! przesiadujesz po całych dniach w jej domu i nie wiesz jeszcze czy jesteś kochany.

— Ona nie wie nawet o tem że ją kocham, mój wuju.

— Oho! już co pod tym względem to się mylisz; nie się na tem nie rozumiesz. Zaręczam ci, że przynajmniej kwadrans pierwej o tem wiedziała niż ty sam.

— To tylko wiem, kochany wuju, że odbiorę sobie życie, jeżeli jej mieć nie będę.

— A jednak wiele mówi przeciwko temu, żeby ona została żoną twoją: ojciec twój jest bogatszy od jej ojca, nie będzie chciał zezwolić na ten związek.

— Kiedy tak, to wiem co już mi tylko pozostaje.

— Al-ż nie tak gorąco, mój siostrzeńcze, nie róbże niedorzeczności jakiej przynajmniej; pierwej postuchaj trochę.

— Więc słucham.

— Naprzód nie możesz zenić się teraz, mając lat dwadzieścia.

— A to dlaczego, mój wuju.

— Bo ja tego nie chcę, a bezemnie małżeństwo to nie może przyjść do skutku.

— Ach! mój drogi wujciu.....!

— Jeżeli panna cię kocha i przyrzecze oczekiwać na ciebie trzy lata...

— Aż trzy lata?

— Bez żadnych uwag, bo dołożę jeszcze czwarty.

Jeżeli mówię panu przyrzecze czekać na ciebie trzy lata, ty odjedziesz do pułku.....

— Jak to? wuju.

— Lecz nie do tego pułku w Owernej, ale do pułku stojącego tu w bliskości, w którym wyjednam ci stopień oficerski, i zkad będziesz mógł przyjeżdżać co trzy miesiące do nas, aż do pożądanej chwili.

— To dobrze wuju, lecz jak się dowiedzieć czy ona mnie kocha?

— Jak się dowiedzieć! do pioruna! trzeba się ję zapytać.

— Lecz ja nie ośmielę się nigdy.

— No, to bądź posłuszny ojcu i wybieraj się w drogę.

— Ależ, mój wuju, ty nie wiesz co to za dziewczyna; sto razy chciałem ję powiedzieć że ją kocham, przeklinałem ją nieśmiałość, dręczyłem ją, biedną głowę na wszystkie sposoby, układałem i uczyłem się na pamięć oświadczenia, pisałem listy, — wszystko na nie. Kiedym miał mówić, czułem że mi pierwsze słowo dławi i zaczynałem o czem innym. Ję spojrzenie tak słodkie ale zarazem tak surowe! Zdawało mi się że ona nie może pokochać mężczyzny, i zwracałem rozmowę na inny przedmiot.

Co do listów, udawało mi się jeszcze gorzej; w chwili kiedym je miał doręczyć wydawały mi się tak niedorzeczne, że je darłem w drobne kawałki.

Z tem wszystkiem trzeba ci wziąć postanowienie mój chłopcu; zaraz ci powiem dla czego twój ojciec nie objaśnił ci o wszystkim. Jeżeli cię posyła do Clermont, to dla tego że dowódca pułku jest jego przyjacielem, i że ma córkę która jest dla ciebie przeznaczoną. Związek bogaty i świetny. Ależ... nie przerywaj mi, wiem, że zakochany na to wszystko nie zważa, i przyznać należy że robi olbrzymie głupstwo, jednak przykro by mi było gdybym sam nie popełnił podobnej niedorzeczności; tylko niezdary i niedołęgi są od nich wolni. Wiem że starzy nazywają to złudzeniem; kto wie jednak czy oni sami się nie łudzą. Szkło zmniejszające przedmioty, równie jest nieprawdziwe jak szkło powiększające.

Jeżeli ona cię kocha, powinieneś wszystko dla niej poświęcić; to nie mądrze, ale szlachetnie, tak powinieneś postąpić; — lecz przedewszystkiem potrzeba wiedzieć czy cię kocha, a do tego przedstawia się wyborna sposobność. Chęć ją wydać za mąż, mój siostrzanku; myśl ta przeraża cię, chciałbyś przyłożyć szpadę do piersi twego przeciwnika, wszak prawda?

Otóż postaraj się zachować cząstkę tój pięknej odwagi w obec twój pięknej Noemi. Chęć ją wydać za człowieka bogatszego od ciebie, z tytułem i w warunkach, które zezwalają na bezwzględne ich pobranie się, gdy tymczasem na ciebie oczekiwać potrzeba. Idź więc do Noemi i powiedz ję, że ją kochasz, ona wie o tem, lecz to nie wadzi, takie rzeczy mówią się wyrażnie, zobowiąż ją, bo do pioruna! ona musi cię kochać. Jesteś młody, ładny i niegłupi chłopiec, zobowiąż ją aby przyrzekła czekać na ciebie trzy lata, i niech o tem zapewni mnie na piśmie w liście do mnie adresowanym, który u siebie zachowam. Naówczas ja zerwę owo ułożone małżeństwo; przeniosę cię do innego pułku, i za trzy lata, nie zważając na nic, na twego ojca, a nawet na samego szatana, pożenię was.

— Wujaszku, co powiesz na to?

— Cóż takiego?

— Napiszę do niej.

— I tak dobrze.

Pożegnawszy wuja poszedłem napisać list; nie było to dla mnie trudnością, dla mnie który już sto pięćdziesiąt razy do niej pisałem; lecz zakłopotano mnie to, jakim go oddać sposobem? Czas był drogi, wkrótce więc uczyniłem postanowienie: kupiłem bukiet żółtych róż i w środek wsunąłem bilet

Może to niedorzecznie, lecz tak było, jak dziś pamiętam.

Po wyznaniu mój miłości, błagałem żeby była mi wzajemną i oczekiwała na mnie trzy lata: prosiłem ją aby jeżeli podziela moje zamiary, przypięła do sukni wieczorem jedną z ofiarowanych ję róż; naówczas, pisałem, ośmielę się mówić z panią, co uczynić należy dla zapewnienia mojego szczęścia, bo nie śmiem powiedzieć naszego.

Ah! to w środek bukietu włożyłeś pan bilet, rzekła pani Lorgerele.

— Tak jest.

— Cóż potem?

— Potem, — Noemi nie przypięła wieczorem róż do sukni; chciałem sobie odebrać życie, wuj przysłał mnie aby udać się z nim do Clermont. Po został tam przez dwa miesiące, będąc moim nieodstępnym towarzyszem w gronie młodych oficerów, i w końcu uspokoił mię, przekonawszy że Noemi mnie nie kochała.

— Ależ wuju, mówiłem mu, ona zdawała się być zawsze tak uradowaną moim przybyciem, czyniła mi także czułe wymówki jeżeli się kiedy spóźniłem.

— Bo widzisz — odpowiadał — kobiety lubią patrzeć na wzburzone przez nich uczucie miłości gdziekolwiek się ono ukaże, lecz są osoby które się im niepodobają.

Nakoniec, prawie zapomniałem o niej, — następnie ożeniłem się z córką pułkownika, którą straciłem po ośmiu latach pożycia, i oto znowu jestem sam; bo wuj oddawna już umarł. Lecz czy uwierzyć, że niekiedy myślę jeszcze o Noemi, a co dziwniejsza, że widzę ją zawsze jeszcze młodą, siedemnastoletnią panienką, z ciemnymi włosami i oczami, jak mawiał mój wuj, aksamitno-czarnymi, — gdy tymczasem to musi być dzisiaj jakaś dobra sobie staruszcza.

— Więc pan nie wiesz co się z nią stało?

— Nie wiem nic.

— Ale.. pan przecież nie nazywasz się Decoudrais?

— Nie, — to nazwa majątności mego wuja, ja się zowie Edmund d'Abreheim.

— Tak, to prawda.

— Co znaczy to poświadczenie?...

— Oto, ja powiem co się stało z Noemi.

— Co?...

— Dowiedz się najprzód że cię szczerze kochała.

— A róża żółta?

— Niewidział pańskiego biletu, jego odjazd nagły pogrążył ją w żalu, — potem... zaślubiła pana de Lorgerele.

— Pana de Lorgerele!

— Tak jest pana de Lorgerele, po którym jestem obecnie wdową.

— Jak to... to pani jesteś Noemi Amelot?

— Niestety! tak jest.

— Mój Boże! ktoby uwierzył, że my kiedyś spotkamy się i nawet się niepoznamy!

— To prawda! i że połączymy się dlatego tylko aby grać w tryktraka.

— Lecz bukiet?

— Bukiet jest — chowałam go ciągle.

Pani Lorgerele poszła do szafy po hebanowe pudełko i otworzyła go. Wyjęła z niego bukiet zwiędły. Cała była drżąca ze wzruszenia.

— Rozwiąż go pani: rozwiąż, zawołał pan Decoudrais.

Rozwiązała bukiet i znalazła bilet, który znajdował się tam lat przeszło czterdzieści. Oboje pozostali w milczeniu; ja chciałam oddalić się, p. Decoudrais także powstał.

Pani Lorgerele wzięła go za rękę i rzekła:

— Masz słusność. Nie trzeba aby to odmłodzenie chwilowe serc naszych, miało miejsce przy widoku zestarzałych twarzy jakimi są nasze. Ochrońmy od tój śmieszności to szlachetne uczucie, które użyczy może nam szczęścia na resztę dni życia naszego. Nie powracaj pan jak za dni kilka.

Od tego czasu stary Decoudrais i stara de Lorgerele nie rozłączają się; pomiędzy niemi zachodzi związek uczuciowy, któremu podobnego w życiu mojem nigdy nie widziałem. Wspominają wspólnie wszystkie szczegóły tój miłości, która w swoim czasie nie mogła się wyjawić, tysiąc rzeczy mają sobie do powiedzenia, kochają się z odniesieniem do przeszłości; chcieliby może zostać małżonkami, lecz nie śmiają się pobrać.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

IX.

BALU DZIERŻAWCY.

Południe zbliżało się, we dworze Adamowskim i na otaczających go polach ruch był od kilku godzin wielki, oboje państwo Jerzowie oddawna krzątali się koło gospodarstwa, a Aleksander siedział jeszcze w swoim pokoju przed lusterkiem, głęboko pogrążony w wykończaniu szczegółów swój toalety. Po wczorajszej bytności w Niemence spał długo, i w snach musiał znać ciągle widzieć Wincunię, bo podkrecając przed zwierciadłem jasny wąsik, przyglądając włosy, cichutko wymówił ję imię z pół figlarnym, pół radośnym uśmiechem. Był bardzo zamysłony, chwilami zdawał się zupełnie zapominać o niedokończonj toalecie, machinalnie patrzył na twarz swą odbitą w lusterku, i to uśmiechając się, to jakby w wewnętrznym namyśle pokręcając głowę, motał sobie coś ciągle i motał na pieszczony wąsik.

Nagle brzęknęły w pokoju klucze, i młody człowiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. Odwrócił się i pocałował czule ję rękę.

— Dobrze że mama przyszła, rzekł, mam z mamą do pomówienia.

— Cóż takiego Olutku? spytała Snopińska siadając naprzeciw syna.

— Myślę żenić się, odpowiedział krótko bez wszelkich preliminarji.

Snopińska klasnęła rękami, pół z przestachem pół z radością.

— Z kimże, moje dziecko? zawołała.

— Z Wincunią Niemeńską.

— Ależ ona już zaręczona, Olutku.

— W tem i sęk moja mam. Że ona mną trochę już zajęta, jestem tego pewny; no naturalnie że i ja ją kocham, bo bez miłości pewniebym się nie żenił, ale ponieważ jest zaręczoną, ma skrupuły, i o to idzie aby o nich zapomnieli. Bo też Bogiem a prawdą, nie warto żeby takie śliczne stworzenie robiło z siebie ofiarę dla takiego szlachciury jak ten Topolski.

— Już to pewno, mój Olutku, rzekła po chwili namysłu Snopińska, że ty do niej daleko lepiej pasujesz jak Topolski. Patrzyłam na was jak przeszłej niedzieli szliście razem z kościoła przez cmentarz, i myślałam sobie właśnie, że śliczna i dobrana z was para, i nie tylko ja tak myślałam ale i inni to mówili.

Aleksander z zadowoleniem pokręcił wąsika; Snopińska mówiła dalej:

— Przytem panna Niemeńska, to wcale nie zła partja, ma swój folwark i jak mówią pięknie zagospodarzony. Tę część która należy do ję ciotki, ojciec odkupiłby dla ciebie i jestem pewna że nie by przeciw temu małżeństwu nie miał. Ale jakże zrobisz żeby zrekurowała narzeczoną?

— O tem właśnie chciałem pomówić z mamą, trzeba abyśmy wydali bal.

— Bal? zawołała Snopińska składając ręce. Jezus, Marja! a to na co?

— Trzeba abyśmy wydali bal, powtórzył Aleksander z powagą, ale to bal co się zowie. Zrobi to na niej wrażenie. Ja szepnę ję do uszka, że zabawa ta na ję część urządzona, blask i gwar odrodzą ją i olśnią, w tańcu rozmarzy się jak to zwykle z panienkami bywa, ja tymczasem oświadczę się, i ręczę mamie że wyjedzie ztąd tak rozkochana, że jak na drugi dzień pojedzie do Niemenki, przyrzecze mi a Topolskiego zrekujuje.

— Jakie to w tój twojej głowie pomysły! rzekła zachwycona synem Snopińska. Może i masz rację, ale jakże to będzie? Ja nigdy balu nie wydawałam; i prawdę rzekłszy nigdy nawet na żadnym nie byłam; ani więc mam wyobrażenia jak to tam na balu być powinno.

— Niech już mama o nie się nie turbuje, ja sam wszystko biorę na siebie. Kucharzów i lokajów, naj-
mę tych, którzy mieszkają w rezydencji hrabiny na
wyładek jej przyjazdu; oświetleniem domu i przy-
jęciem gości sam zarządzę. Przecież znam się na
tem, bo nie na jednym balu byłem i u pani Karlicz
i gdzieindziej.

Snopińska zamysliła się i machinalnie brząkała
kluczami.

— Ależ, moje dziecko, rzekł apo chwili, to będzie
straszenie wiele kosztować!

— Czyż mamcia żałuje pieniędzy dla mego
szczęścia? rzekł Aleksander pół żałośnie, pół pieszc-
zotliwie.

— Już to wiadomo, że ja dla twego szczęścia to-
bym i sama w ogień wskoczyła, ale widzisz Olut-
ku, co ojciec...

— Ojciec! podchwycił Aleksander, z nim będzie
trochę trudna sprawa. No, ale jak my z mamą
uweźmiemy się oboje, to wszystko dobrze pójdzie.
Ja wiem, że ojciec chce abym ożenił się; otóż po-
wiem mu, że jeżeli nie z Wincunią to nigdy z nikim
nie ożenię się, a co nawet i nie zupełnie skłamię, bo
ta dziewczyna tak mi wlała w głowę, że ją tylko
widzę we śnie i na jawie. Nakoniec i to nasunę
ojcu na uwagę, że przecież wezmę niezły posag.

— A niezły, niezły, powtórzyła matka, słysząc
że ten Topolski tak pięknie urządził Niemenkę, że
daje ona tyle dochodu co Adampol, choć pięć razy
większy...

— Ot widzi mama! a jak ja wezmę Niemenkę, to
pewno daleko lepiej jeszcze potrafię ją urządzić jak
Topolski, bo ożeniwszy się i do gospodarstwa wezmę
się nie na żarty.

— Dobrze, dobrze, mój Olutku, trzeba dziś bę-
dzie o tem wszystkim pomówić z ojcem. Ale kie-
dyż to ten bal być powinien!

— Naturalnie że najstosowniej będzie na Stą
Annę, bo to imieniny mamy, będzie zatem pretekst
wybrany do zabawy. Trzeba żeby mama przedtem
pojechała z wizytami w sąsiedztwo naprzód do
Niemenki, potem do pani Karlicz, potem...

— Ja mam oddawać tyle wizyt! krzyknęła prze-
straszona Snopińska; moje dziecko, a toż na co?

— Bo inaczej nikt z dam nie przyjedzie do nas...

— Ależ ja chyba do tej pani Karlicz nie pojedę,
to taka pani....

— Niepodobna moja mamó, ja tam bywam tak
często! Zresztą to najbogatsza obywatelka w oko-
licy i przyniesie nam honor swoją bytnością.

— Ależ mój Olutku, to będzie straszna dla mnie
fatyga i subjekeja... ja nie przyzwyczajona...

— Moja mamciu, moja droga mamulku, czyż
mamcia nie robi tego dla mnie, dla mego szczę-
ścia? mówił Aleksander; całując matkę po rękach
i przymilając się do niej.

— Ależ zrobię, zrobię mój koteczku! pojedę
wszędzie gdzie zechcesz, byleby to było dla twego
dobra; tylko z ojcem spraw się jakkolwiek, odrzekła
Snopińska całując syna.

W parę godzin po tej rozmowie między matką
i synem, pan Jerzy zaatakowany przez obojga, wy-
krzykiwał ze zdziwieniem i przestachem:

— Bal! bal! a co wam do głowy przyszło? w sa-
me żniwa bal wydawać? czyście powarjowali oboje!
Słuchaj Anulku, ty sama niewiesz co gadasz, a ten
błazen to prędko cały dom do góry nogami zechce
przewrócić!

— Jeżeli papo nie zgodzi się spełnić moją prośbę,
będę bardzo nieszczęśliwy! pokornie i ze smutną
miną rzekł Aleksander.

— Nieszczęśliwy! nieszczęśliwy! powtórzył p.
Jerzy, a oczy jego strasznie zafrasowane biegały
po wszystkich kątach pokoju. Czemże ciębie u licha
ten przeklęty bal uszczęśliwi?

— Da mi za żonę kobietę bez której żyć nie
mogę, smutniej jeszcze odparł młodzieniec.

Wiedział że trafi w słabą stronę ojca, pan Jerzy
zmięknął trochę, lubo bronił się jeszcze energicznie.
Aleksander ukląkł przed nim i zaczął całować go
w ręce i kolana.

Mój ojczulku, mówił, mój papunieczku najdroższy,
najlepszy, czyż papo tego jedynego, tego ostatniego
dobrodziejstwa dla mnie uczynić nie zechce? Ja
wiem że papo już bardzo wiele na mnie wydał, że
lepszego ojca na całym świecie nie ma, ale niech pa-
po jeszcze ten raz zlituje się nademną...

Snopińska stojąc za krzesłem męża szlochając mu
nad uchem.

— Jerzy, mówiła chlapiąc, zgódź się na to o co
ciebie jedyne dziecko pros! czyty jesteś tyran jaki
albo co? Czy to moje prośby nie już u ciebie nie
warte? A pamiętasz jak to bywało dawniej kiedy
to tylkocośmy się pobrali, toś mówił: „o co ty mnie
Anulku poprosisz, wszystko zrobię“ Tak to dotrzy-
mujesz obietnicy! może to tak dla tego że ja teraz
stara i brzydka, a żeby jaka młoda i ładna kobietka
o co cię poprosiła tobyś zaraz uczynił. O, ja nie-
szczęśliwa! taka to nagroda dla mnie za 25 latnie
z tobą dobre pożycie! Patrz oto dziecko ledwie nie
płacze tak ciębie prosi... wszak to jedynak, a ty
z sobą do grobu pieniędzy nie poniesiesz; zresztą
jak ożeni się i weźmie posag, to wróci tobie ten wy-
datek...

Pan Jerzy krzywił się, marszczył, zatykał uszy
palcami, mruzczał pod wąsem: w same żniwa! po-
warjowali, w same żniwa! ale w końcu rzekł do syna
klęczącego ciągle przed nim:

— No, dość już tego! wstań Olesiu, masz tę jedną
dobrą zaletę, że jak czego chcesz to prosisz pokor-
nie. A ty Anulku czegoż płaczesz, wiesz przecie że
ja na twoje łzy patrzeć nie mogę! Niech już tam
będzie po waszemu: tylko słuchaj Olesiu, jak ty mi
po tym balu nie ożenisz się z panią Niemeńską, to...

— Ożenie się, papunieczku, ożenie się! zawołał
podskakując Aleksander i po kilkadziesiąt razy po-
całował ręce ojca. Taka cudna dziewczyna! Sło-
wo daję! że jak ją papo zobaczy to sam w niej roz-
kochi się, choć pewnie mamie o tem, nie powie, do-
dał figlarnie.

— Oj, ty sowizdrzale! rzekł pan Jerzy mimowoli
rozmieszony. A wieleż tam pieniędzy na ten bal
trzeba będzie?

Tu był najdrażliwszy punkt całej sprawy. Alek-
sander zażądał bardzo wiele. Oprócz wydatków na
wiktuały, oświetlenie, najęcie służby, trzeba jeszcze
było powozu dla oddawania wizyt, bo nikt przecie
nie jeździ bryczką gości na bal spraszać; trzeba by-
ło nowych mebli przynajmniej do bawialnego po-
koju, muzyki z powiatowego miasta etc. Dzierża-
wca brał się za głowę, ale wnet Aleksander przy-
padał mu do kolan, ukochana Anulka zaczynała
szlochać i nazywać go tyranem, a pan Jerzy zatykał
jacz uszy palcami, wołał: no cicho już Anulku, ci-
cho! niech już będzie muzyka, a na powóz nie zgo-
dzą się za nie! Nowe prośby syna, nowe wyrzuty
żony. Niechże już będzie powóz, ale mebli za nie
w świecie nie kupię! protestował obłąkany.

W targ, w targ, dzierżawca przystał na wszystko
oprócz na meble, i z niesłychanie zafrasowaniem
oczami nasunawszy czapkę na uszy, poszedł w po-
le, mrużąc pod wąsem:

— W same żniwa! w same żniwa!

Po odejściu ojca, Aleksander klasnął w dłonie
i rzekł do siebie:

— Wszystko dobrze! Na meble pożyczę pienię-
dzy od Szłomy, bo mam u niego kredyt, a ojcu po-
wiem że je tylko nająłem. Bal będzie pyszny,
i Wincunia moja, a Topolski zje harbuza!...

Od owego dnia wszczął się w Adampolu ruch nad-
zwyczajny. Aleksander codziennie gdzieś wyjeżdżał
i zwoził do domu meble, prowizje, rośliny wazono-
we it. d. Jednej rzeczy nie mógł nabyć w całej okolicy:
kinkietów i żyrandolów. Wiele go to bolało i drę-
czyło. Któż kiedy widział, aby na balu paliły się
świece w prostych tylko świecznikach. Już to
o ostatnich niebyło co i myśleć żyrandole z na-
zwzy tylko znane były w sąsiedztwie, a naocznie wi-
dzieli je tylko ci nieliczni szczęśliwcy, którzy wni-
kali niekiedy do wnętrza pałacu niezamieszkałej re-
zydencji hrabiny. Kinkiety znajdowały się w wiel-
kiej liczbie na ścianach salonów pani Karlicz. Alek-
sanderowi przyszło na myśl, aby poprosić uprzejmą
dla niego wdówkę o pożyczenie mu tego balowego
aparatu. Ale rozmyślił się; czy ambicja wstrzyma-
ła go od pożyczenia czegokolwiek u bogitej sąsiad-
ki, czy nie czuł się w usposobieniu jechnia do niej
będąc tak żywo zajęty Wincunią. Dosyć że zam-
knął się pewnego dnia w swoim pokoju, i z rozpacz-
liwą energią wziął się do własnoręcznego wyrabia-
nia kinkietów. Dwa dni toczył i heblował od rana
do późnej nocy, aż mu pot kroplami z czoła spływał,
ale na trzeci dzień kinkiety były gotowe. Składały
się one z kilkunastu półkoli pięknie wyrabionych
z orzechowego drzewa, zaopatrzonych w dziurki do
wsadzania świec i w osobne kółka służące do zawie-

szania całości na gwoździach. W dzień balu pół-
kola te miały być pozawieszane na ścianach i ozdo-
bione wieńcami. Był to pomysł oryginalny, praw-
dziwie sielski, ale zrecznością wykonania przynosił
zaszczyt dobremu smakowi młodzieńca, i świadczył,
raz jeszcze o jego wielkich zdolnościach do mechani-
cznych robót.

Na dwa tygodnie przed balem, rozpoczęło się od-
dawanie wizyt sąsiedztwu przez obojga państwa Sno-
pińskich. Ku temu celowi kupioną została karetka
hrabiny, która od niepamiętnych już lat stała nie
używana w wozowni, i niewiadomo jakim sposobem
dostała się na własność komissarzowi hrabiny, Ko-
towiczowi. Sprzyjałniony z Kotowiczem Aleksan-
der, wiedział o jej istnieniu, i choć to była odwiecz-
na landara na stojących resorach i z okropnym
murzynem drewnianym w czerwonej czapce ster-
czącym w tyle pudła, kupił ją za małą sumę, co
wprowadziło w dobry humor p. Jerzego. Aleksan-
der kazał zrabować murzyna, który wielkim strachem
nabawiał spotykanych na drodze żydków, obić we-
wnętrzną materacę nową wełnianą materją, jako
tako oczyścić zczerniałe brzozy, a gdy wszystko już
było skończone, odstąpił parę kroków od tak od-
nowionej landary, i przypatrując się jej z głębokim
namysłem, i rzekł:

— „Jeśli cię kto o imię zapyta, powiedz żeś ka-
reta!“ Oto antyk kiedy antyk — szczególnież kie-
dy ten murzyn w czerwonej czapce stał z tyłu! No,
murzyna już chwala Bogu niema, ale zawsze to Bóg
wie do czego podobne!

Zmarkotniała, i znać było po kierunku wejrzenia,
że pocieszała go tylko mitra hrabiowska, która od-
czyszczona, odświeżona żółtą barwą, jaśniała na
drzwiczkach ze spłowiałym lakierem.

— Ha! rzekł w końcu młodzieniec, cóż robić?
kiedy papo na lepszy powóz za nie pieniędzy dać nie
chciał. Pani Karlicz zresztą mówiła niedawno, że
antyki wchodzą w modę. Powiem wszystkim że to
karetka, którą moja matka do ślubu jechała; będzie
to znak że karety dawno już egzystują w naszym
rodziciel!

Parsknął głośnym śmiechem, i dodał:

— Cóż robić? zawsze to jednak karetka! jak oże-
nie się kupię sobie lepszą! naturalnie!

Pewnego pięknego dnia, pani Snopińska w jedwa-
bnej krasiastej sukni, którą wydobyla z głębi jakie-
goś kufra, w starożytniej atlasowej kardynalce oszy-
tej szeroką torsadą, w czepku o fioletowych wstąż-
kach, wsiadła do owiej karety, wciskając na ręce żół-
te rękawiczki sprowadzone dla niej przez syna. Za
połowicą wtłoczył się do landary p. Jerzy, w białej
kamizelce i ślubnym granatowym fraku, ze strasz-
nie zafrasowanymi oczami i z białymi rękawiczkami,
które mu syn wetknął w ręce na ganku.

Aleksander pomagał tylko rodzicom wsiadać do
karety, a sam zostawał w domu, bo jechali oni do
Niemenki a on umyślił tam im nie towarzyszyć.
Należało to znać także do jego strategicznych pla-
nów. Może zbyt częstem bywaniem w Niemence
nie chciał obudzić podejrzeń i uwagi Topolskiego,
albo może przydłuższą nieobecnością spodziewał się
obudzić w Wincuni tem żywszą chęć zobaczenia go
na balu. Pragnął on niezmiernie widzieć dziewczynę,
bo w ostatnich dniach aż pobił trochę od tę-
sknoty, ale powstrzymał się i nie pojechał.

Furman krzyknął na konie, które po kilku wysi-
leniach zdołały zaledwie ruszyć z miejsca landarę;
cały ekwipaż ciężko i zwolna ruszył się od ganku,
a pani Snopińska wychyliła się przez okno i zasto-
wała do stojącej na ganku sieroty Antosi:

— Pilnuj — że tylko dobrze kluczków!

P. Jerzy wysadził też głowę, chciał znać coś po-
lecić Aleksandrowi, ale machnął tylko ręką, nie nie
powiedział, i schował się w głąb powozu, szepcząc
pod wąsem:

— W same żniwa! w same żniwa!

Ta sama scena powtórzyła się nazajutrz. Pań-
stwo Snopińscy pojechali z wizytą do pani Karlicz.
Pani Jerzowa na samą myśl spotkania się z boga-
tą i światową damą, biała i nie wiedziała co po-
cząć ze swymi rękami odzianymi w żółte rękawicz-
ki. Tym razem Aleksander nie został w domu.
Gdy rodzice wsiadli do karety, on wskoczył na swoją
leciuchną nejtyczanke, i minawszy ciężką landarę
popędził w awangardzie, aby znakomitą swą w o-
kolicy przyjaciółce oznajmić wizytę rodziców.

Wyjazdy te powtarzały się przez dwa tygodnie prawie codziennie. Pan Jerzy był zły i bardzo zafasowany. Po powrocie z każdej wizyty, chodził po pokoju z rękami w tył założonemi i szeptał pod wąsem:

— I jaż to wszystko muszę robić dla tego błazna, w same żniwa!

Albo powtarzał sobie z wyrzutem:

— Dalibóg zbłądziłem się! w same żniwa! Ale zawsze dodawał:

— Może też ożeni się i da Bóg uszatkuję! w same żniwa!

Pani Snopińska wróciwszy do domu, zrzuciła z siebie co prędzej kraciastą suknię i atłasową kardynalkę, układała je starannie w kufrze, i odziewszy się w płócienny tułubek biegła z kluczami od spiżarni do spiżarni, aby przekonać się czy w czasie jej nieobecności nie zaszła jaka malwersacja. A Aleksander chodził po swoim pokoju, klaskał tryumfalnie w palce i przyspiewywał:

— Wincunia będzie moja! będzie moja! a Topolski dostanie odkosza!

Jeździł i on z wizytami do młodzieży, zapraszając wszystkich na imieniny matki. Był także w Topolinie. Bolesław zdziwił się trochę niespodziewanemi odwiedzinami, ale gdy dowiedział się o co idzie, uprzejmie przyjął zaprosiny i przyrzekł że będzie na zabawie. A kiedy mu jeszcze Aleksander powiedział, że zabawa ta ma być urządzoną głównie dla sprawienia przyjemności jego matce, i parę razy z czułością odezwał się o niej, Bolesław pomyślał: ma i on swoją dobrą stronę, kiedy kocha i szanuje rodziców! i przy pożegnaniu serdecznie uścisnął rękę młodzieńca, którego, zwyczajem prawdziwie dobrych ludzi, więcej żałował niż potępiał.

W Niemence ruszano się także bardzo. Pani Niemeńska chciała ukochaną swą synowicę pokazać sąsiedztwu w całym blasku jej piękności, a Wincunia z gorączkowem zajęciem gotowała się do przyszłej zabawy. Bolesław rad był że ujrzał ją znowu ożywioną i wesołą, i mówił do pani Niemeńskiej:

— Dobrze że Wincunia rozerwie się, może też jej tego trzeba było!

A w dachu dodawał:

— Siedemnasty rok ma swoje prawa! Niech mię Bóg broni abym się im sprzeciwiał!

I sam przywiózł jej z powiatowego miasta białą krepową sukienkę, różową szarfę i różowy wianek na głowę.

Nadszedł nareszcie dzień Sw. Anny, dzień z niecierpliwością oczekiwany przez całe sąsiedztwo. Wnętrze Adampolskiego domu zmieniło się, jakby za dotknięciem różdżki czarnoksiężki. A był to dom wcale nie ciasny, bo służył niegdyś za rezydencją rodzicom hrabiny; pokoje w nim były obszerne, posadzki niegdyś piękne dochowały jeszcze resztki gładkości i połysku, na ścianach pomalowanych w jaskrawe barwy ale trwałym staroświeckim sposobem, gdzie niegdzie tylko znaczne były uszkodzenia ręką czasu dokonane. W bawialnym więc pokoju, na miejscu prostych jesionowych sprzętów, stały wcale zgrabne mahoniowe mebelki, kupione sekretnie za pożyczone od Szlamy pieniądze. Pana Jerzego wyrzucono z sypialni i gabinetu, wraz z łóżkiem, parawanem i z staroświeckim biurkiem pełnym ksiąg rachunkowych, a w obu pokojach ustawiono natomiast stoliki do kart i przekąsek; toż samo stało się z sypialnią pani Jerzowej, z której sztuki szarego płótna, naprężdzone motki i podobno kosz z kurą wysiadającą na jajach, poszły na tymczasowe wygnanie do pokoiku Antosi w oficynie. Z najobszerniejszego pokoju wyniesiono magiel, kufry z bielizną i deskę do prasowania, a urządzono z niego salę do tańca. Tam na świeżo wybielonych ścianach, pozawieszano kinkiety roboty Aleksandra i owito je wieńcami z nieśmiertelników i habru; pod ścianami ustawiono wszystkie krzesła jakie się dały zebrać w całym domu, w okien urządzono klomby z przesadzonych w wazonach kwitnących róż i innych roślin. Inny znów pokój zwykle pusty a obszerny, obrócono na salę jadalną zresztą na posadzkach leżały gdzie nie gdzie świeżo kupione dywany w złym wprawdzie gatunku ale nowe

i kwieciste, po stołach stały lampy, a po całym domu kręciło się kilku najetych lokajów w białych bawelnianych rękawiczkach. Dwóch kucharzów hrabiny sporządzało w kuchni paszety, torty, lody, lmonjady i t. d. Aleksander zaś od rana ubrany, ufryzowany, uperfumowany, biegł z kuchni do kredensu, z kredensu do pokoiów, dysponował, poprawiał, ustawiał, czuł się widocznie w swojej sferze, a żadnej nie opuścił sposobności, aby nie pocałować w rękę ojca lub matkę i nie przymilić się do nich czem rozmarszczał czoła i rozpogadzał zakłopotane oczy rodziców, odrzonych i zmartwionych tym tak niezwykłym dla nich, a tak kosztowym gwarem i zamętem w domu.

Gdy nareszcie o zmroku, na dziedzińcu Adampolskim zapalili się kolorowe latarnie, w pokojach zagorzało mnóstwo świateł, wszystko tam wyglądało dość ładnie i gustownie. Znać było wprawdzie w całym urządzeniu pospiech, dorywczość, łataninę i oszczędność, nie było tam owęj łatwej i bez zarzutu elegancji domów zdawna przywykłych do podobnych przyjęć, ale też dzięki gustowi i sprytowi Aleksandra, nic nie wydawało się śmiesznem, a nawet oczom mieszkańców prowincji, którzy nie wspaniałszego nie widzieli, wszystko mogło się wydać pięknem i wykwiśniętem. Muzyka sprowadzona z powiatowego miasta i złożona z czterech skrzypiec, basetli i klarynetu, umieszczona była w małym pokoiku przylegającym do sali w której miano tańczyć, przy drzwiach osłoniętych pasową firanką i ozdobionych szerokimi gałęziami bluszczu pożyczonego z oranżerii hrabiny.

Zabawa u dzierżawcy była dla całego sąsiedztwa gratką nie lada. Poważni ludzie pospieszyli na preferans i pogadankę o wiadomościach gospodarskich i gazetowych: matki rade były że w licznych zebraniach pokażą swe córki, panny drżały na samą myśl o stroju, muzyce i tańcach, a pryncem serduszków ich były jednéj do tego, drugiey do owego z młodych sąsiadów; młodzież pospieszyła też chętnie bo i ich serca były jednego do téj, drugiego do owéj z młodych sąsiadek.

To też zaledwie zmrok zapadł, przeszło sześćdziesiąt osób napełniło zaimprowizowane salony Adampolskiego domu. Przy stolikach kartowych zasiadli niemłodzi dzierżawcy z sąsiedztwa, kilku właścicieli niewielkich folwarków, dwóch czy trzech urzędników z X. a nawet ze trzech komissarzy z administracji dóbr hrabiny. W bawialnym pokoju gwarzyły matrony, które przyjechały same jedne bez córek i kuzynek, a w sali do tańca najrzędsiej oświetlonej i najobficiej ubranej w zielone rośliny, migotały powiewne i różnobarwne suknie panien, a za niemi niby rój motylów za kwiatami uganiało się kilkunastu młodych ludzi. Matki i ciotki zasiadły pod ścianami ścigając wzrokiem panny, gwarząc, śmiejąc się i obmawiając, jak to zwykle bywa między wiejskimi sąsiadkami.

Pod grupą zieleni utworzoną z mirtów i róż kwitnących, siedziała Wincunia pośród kilku towarzyszek. Skromne lecz gustowne ubranie, blask sztucznego światła i wrażenia jakie sprawił na nią gwar i tłum ludzi, niezmiernie podnosiły wrodzone jej wdzięki. Policzki jej kwitły delikatnym rumieńcem, oczy powlekły się połyskliwym, wilgotnym blaskiem, z za przezroczystej sukni lubo uszytej pod szyję ukazywały się śnieżne i kształtne ramiona. Jedynym kosztownym klejnotem jej toalety, był sznur drobnych pereł, pamiątka po matce, który po kilka razy otaczał jej szyję i zsuwał się za krepę sukni.

Za krzesłem Wincuni stał Aleksander z rozpromienioną twarzą, i ze znaczącym uśmiechem przemawiał do niej co chwilę pół głosem.

Lokaje roznosili herbatę, muzyka nie odezwała się jeszcze, bo z rozpoczęciem tańców oczekiwano na panią Karlicz, która jeszcze nie przybyła.

Nareszcie pod oknami zaturkotały koła karety, jedynéj karety jaka dnia tego mimo licznych zebrania podjeżdżała pod ganek Adampolski, i po pokojach rozszedł się głuchy szmer powtarzających z ust do ust: „pani Karlicz przyjechała!”

Jako jedynéj bogatéj obywatelki i światowéj kobiety, jaka miała się znaleźć w obecnem zebraniu, przybycie jej było uważane prawie ogólnie za naj-

wiekszy honor dla domu i najwspanialszy splendor zabawy.

Aleksander ruszył się ze swego stanowiska, lubo jak się zdawało niechętnie, i spotkał świetną panią u drzwi sali. Ubrana była bogato, w czarny aksamit i koronki, suknia jej wlokła się za nią wspaniale i szeleściła miękkim dotknięciem aksamitu do posadzki, czarne włosy ustroiła koralami, a czoło przysłoniła drobnymi łozkami niby mgłą ruchomych chmur lub wężyków. Za nią postępowały dwie pysznie też ustrojone młode panny, bawiące nieustannie przy niej dla towarzystwa.

Światowa pani powitana naprzód głuchym szmerem poprzedzającym jej kroki, a potem ogólnem milczeniem wyrażającym ciekawość i admirację, stanęła na progu sali, ognistemi swemi oczami szybko orzuciła całe zebranie, a szyderski bardzo prędko powściągnięty uśmieszek, przebiegł jej pasowe i kształtne ale kapryśnie zagięte usta.

Aleksander podawał jej rękę na powitanie i z pełnym galanterji ukłonem wymawiał późne przybycie. Pani Karlicz zaś miała się głośno, i odpowiedziała pół żartem pół serio:

— Vous savez monsieur Oleś que les grands seigneurs sont toujours tardifs. — Rozumiesz pan to przysłowie, nieprawdaż? bom ci go kiedyś tłomaczyła.

— Wszystko co wychodzi z ust pani, pozostaje na wieki wyryte w mojej pamięci! wyrzekł pół głosem młodzieniec prowadząc panią Karlicz do krzesła, ale wzrok jego co chwilę biegał ku Wincuni i spotykał się z jej wzrokiem.

Piękna wdowa zabrała miejsce między żonami dzierżawców i drobnymi właścicielami, które przypatrzywały się jej z ciekawością złączoną ze zmieszaniem.

Zabrzmiła muzyka i tańce zaczęły się od poloneza, który trwał krótko, a po nim rozbrzmiał po całym domu huczny, dziarski i zamaszysty mazur.

Kilkanaście par utworzyło wielkie koło, które kilka razy obiegłszy salę rozpręgåło się i rozwiało, a z pomiędzy niego wyskoczyła jedna tylko, piękna i dobrana para i pomknęła po sali śród zwróconej na nią uwagi ogólnej. Aleksander rozpoczynał mazur z Wincunią, ku wielkiemu zdziwieniu towarzystwa, spodziewającego się ujrzeć w pierwszej parze największy splendor zabawy panią Karlicz, ku wielkiemu też zdziwieniu samej tancerki, która przez to ujrzała siebie wystawioną na powszechną uwagę, obdarzoną pierwszeństwem przed tylu innemi kobietami, passowana niejako na królowę balu.

A ślicznę im tak było obojgu, lećącym niby w powietrzu, śród rzęskiego światła, z twarzami zwróconemi ku sobie i oblanymi rumieńcem! Przerzeczysta suknia dziewczki unosiła się na niej jak śnieżysta chmurka, wianek z drobnych róż drżał na warkoczu, oczy spuszczały się ku ziemi, a z za wiśniowych ust ukazywały się białe ząbki niby, rodzone siostry pereł które drgały na szyi.

Aleksander był młody, zgrabny, pełen życia, pięknie więc tańczył mazura. Wincunia była także młoda zgrabna, pełna życia, pięknie więc też tańczyła.

W téj saméj chwili, gdy piękna i pięknie tańcząca para pomknęła na salę, we drzwiach stanął Bolesław wywołany z dalszych pokoiów mazurową nutą, a może nawet chęcią ujrzenia Wincuni. Spojrzał na salę i ścigał wzrokiem snującą po niej białą suknię dziewczę.

Ta wesoła tancerka płynąca w potoku światła, to dziewczę rozbawione, ręka w rękę biegnące w poskokach z obcym mężczyzną, byłaby to jego Wincunia, to ciche dziecię słomianej strzechy, z białego fartuszka karmiące gołębie, jak fioletek pędzące życie w ustroni?

Bolesław ścigał ją oczami i twarz jego bladła. Zdało mu się że to nie ona, że jego ukochane dziewczę rozwiało się i umknęło gdzieś daleko, a na jej miejscu zjawił się ktoś inny z jej tylko twarzą i postacią.

On tak przywykł widzieć ją śród ciszy domowéj, latem między zielenią murawy i drzew, zimą przy blaskach kominkowego ognia lub bladym świetle lampy, że teraz kiedy ujrzał ją w gwarze, w poskokach, śród spływających na nią spojrzeń mnó-

stwa, pod płonącym wzrokiem obcego mężczyzny, serce ścisnęło mu się niewytłomaczonym bólem, tęsknotą, za tamtą, za inną Wincunią, za jego czyścią, cichą, słodką narzeczoną.

Patrzył jeszcze, patrzył ciągle, i zdało mu się że mglista zasłona utkana z gwaru, muzyki, twarzy ludzkich i łez, spuszcza się między nim a tańczącą parą: pomiędzy kłębami tej mgły, która mu wzrok zasłaniała, szukał jeszcze Wincuni i nie mógł jej dojrzeć... widział tylko białą suknię, jasny warkocz, a na nim różowy wianek, ale jęj samęj... nie było.

Po chwili wydało mu się, że ta opona mglista wstępuje w niego samego, i czucie jego, myśli, całe życie jego rozdziela na dwie połowy: przeszłość i przyszłość...

Przez jedną sekundę miał objawienie, przecucia zastukały do jego serca, widmo nieszczęścia zajrzało w oczy... poczuł taki ból jakby ta opona która miała rozdzielić życie jego na dwie połowy, zimną i ostrą sztabą żelaza wsuwała się w jego piersi.

Stał we drzwiach z pochylonem czołem i zamglonemi oczami, i nagle ujrzał naprzeciw siebie Wincunię stojącą obok Aleksandra. Z drugiej strony młodzieńca stała czarno oka i wspaniała pani Karlicz. Tańczono w mazurze krakowską figurę.

Poskończeniu figury, Aleksander mazurowym taktem podbiegł do Bolesława z dwoma kobietami. i wyrzekł:

— Płomień i zefir! Były to nazwania wybrane wedle prawideł tańca przez dwie kobiety.

— Nie tańczę, odrzekł Bolesław.

— Pan nie tańczy! zawołał Aleksander z ironicznym podziwieniem i politowaniem w głosie; zwrócił się do tuż obok stojącego mężczyzny:

— Płomień i zefir, powtórzył.

— Płomień, wyrzekł młody człowiek, a Aleksander z ukłonem oddawszy mu rękę pani Karlicz, puścił się w dalszy taniec z Wincunią.

Ona to więc wybrała sobie nazwę zefira.

Bolesław zamyślił się smutnie. Tak, wistocie, ona była przez lat tyle wiośnianym powiewem, który ochładzał jego zmordowane czoło, gdy strudzony pracą przychodził pod jęj cichą strzechę; ona była mutym łagodnym szelestem wiosennego ranka, zwiastującym pogodny wschód słońca, a po nim rozkoszne — pełne żaru i życia południe.

A teraz — ten powiew wiośniany, ten zefir słodki, ulatuje daleko od niego i owiewa rozkoszne czoło innego! mężczyzny, który ścisną dłoń jęj w swem ręku i w oczach jęj tonie spojrzeniem...

Po raz drugi, ale silniej i groźniej, przecucie zastukało do jego serca i poznał ból nieopisany, tem silniejszy że powodów jego dobrze nie rozumiał. Zdawało mu się tylko że widział, — jasno widział, jak mglista opona rozciągała się między przeszłością jęj i przyszłością, coraz szerzej... coraz głębiej...

W tem uczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu, i usłyszał mówiący za sobą głos:

— Panie Topolski dobrodzieju! a co tam słyszał w gazetach? Pan je czytasz to i mnie powiedz, bo ja za gospodarstwem o bożym świecie niewiem.

Obejrzał się i zobaczył rumianego i przysadzistego dziedzica sąsiedniej wioszyny, który stał przed nim gładząc dłonią potężną łysinę.

Opuścił salę tańca, rozmawiając z sąsiadem o polityce. W koło nich zebrało się po chwili kilku poważnych ludzi, podeszło nawet parę niemłodych kobiet, zasiedli wszyscy w bawialnym pokoju i gawędzili długo przy odgłosach muzyki i gwaru dochodzących z sali tańca.

Kiedy Bolesław upatrzywszy chwilę stosowną do opuszczenia towarzystwa, które się około niego ugrupowało, stanął znowu na progu sali, wrzwał w nią jeszcze w całej sile dwugodzinny mazur.

Wincunia stała na środku sali otoczona młodymi ludźmi, którzy wszyscy trzymali oczy utkwione w nią jak w tęczę. Wspięła się na palce, z figlarnym uśmiechem spojrzała w koło, podniosła rękę, a potrymawszy ją tak parę sekund podrzuciła chusteczkę. Zabrzmiał okrzyk kilkunastu głosów i cała młodzież rzuciła się ku szmatce białego batystu, ale Aleksander poskoczył najpierw i najzgrabniej pochwycił chusteczkę, a gdy wszyscy rozstąpili się, z uśmiechem radości ujął podaną sobie rękę Wincuni i znów z nią pomknął po sali. Wkrótce jednak stanęli oboje pośrodku, trzymając się za ręce. Wincunia mu coś powiedziała, a on zawołał:

— Wszystkie pary!

Miało to oznaczać zbliżanie się mazura ku końcowi. W mgnieniu oka sformowało się wielkie koło.

— *Chaine des dames!* zawołał donośnie Aleksander, który przez cały czas dyrygował mazurem.

Pomknęły różnobarwne suknie, i przez chwilę widać było tylko białe ramiona kobiet wyciągające się ku coraz innemu mężczyźnie.

— *Contre-chaine!* zabrzmiał znowu dźwięczny a donośny głos Aleksandra.

Ktoś pomylił się — zrobiło się konieczne zamieszanie, nikt już nie wiedział gdzie ma iść i co robić, tancerze szukali swoich tancerek — tancerki tancerzy. Wincunia zaśmiała się głośno z tej płataniny, która ją bynajmniej nie kłopotowała, bo Aleksander w mgnieniu oka odnalazł ją i był już przy niej trzymając ją za rękę. Śmiech dziewczyny, jak odgłos srebrnego dzwoneczka, wyróżnił się wśród gwaru innych śmiechów i przypłynął do ucha Bolesława wraz z głosem Aleksandra, który z dziarskim holupcem puszczając się w taniec, wołał na inne pary:

— *Mazur!*

Jak ona się bawił myślał Bolesław, gdy przed nim kilkanaście par szalało w poskokach i holupcach; czemuż i ja nie jestem tak wesół jak ona? I pierwszy raz poczuł głęboki rozdźwięk między jęj duchem a swoim, pierwszy raz ujrzał się w obec niej za poważnym i niewyraźnym głosem jakiś szepnął mu do ucha: „tyś człowiek a ona dziecko!“ Ale dziecko ukochane, dziecko na którym budowałem tak długo światy mojej przyszłości! zawołał w sobie z boleścią, i usłyszał głos Aleksandra wołający.

— *Promenade!*

Podniósł głowę i spojrzał: wszystkie pary sunęły po sali poważnie, jedna za drugą, z szelestem sukien kobiecych i szmerem rozmów prowadzonych półgłosem. Wincunia szła zwieszona na ramieniu Aleksandra, suknia jęj musnęła Bolesława w przechodzie, ale jęj twarz zwrócona była ku młodzieńcowi, który ją prowadził, mówił do niej zeicha i patrzył w jęj oczy tak głęboko... tak płomiennie...

— Na kolana! każdy z panów przed swoją damą! zadyrygował po raz ostatni Aleksander; wszystkie pary stanęły, i wszyscy mężczyźni zgięli kolana.

A naprzeciw drzwi w których stał Bolesław, Aleksander przykląkł przed Wincunią; usta jego długim pocałunkiem przylgnęły do jęj ręki, a ze spuszczonej na jego schyloną głowę oczu dziewczyny, trysnęły dwie błyskawice i zniknęły wnet za wilgotną mgłą wzruszenia.

Cała krew Bolesława zawrzała na ten widok, twarz jego zapalała rumieńcem, potem zbladła bardzo. Uczynił taki ruch jakby chciał poskoczyć ku narzeczonej, ale powstrzymał się i oparł plecami o ścianę, jakby trudno mu było ustać o własnej sile. W tej chwili coś go zlekka trąciło.

Obejrzał się i zobaczył lokaja roznoszącego na tacy limonjadę. Pochwycił szklankę z zimnym napojem, wychylił ją do dna i przebiegłszy parę pokojów, znalazł się w pustej prawie sali jadalnej, w której właśnie nakrywano, do wieczery. Po kilku minutach, samotność i chłodniejsza temperatura pokoju, ochłodziły nieco wewnętrzne wzbudzenie jakiego doświadczał, uśmiechnął się nawet i spytał siebie, jaką dłoń miał przyczynę? Już też Wincunia raz przyjechawszy na zabawę musiała tańczyć, a cóż było dziwnego w tem, że siedemnastoletnie dziewczę ochotnie oddało się tańcowi i z przyjemnością tańczyło z najzręczniejszym młodzieńcem jaki był w zebraniu. Bolesław zawstydził się własnych poczuć. Miałebym być zazdrośnym i podejrzeniami męczyć ją i siebie? pomyślał. Nie, — byłoby to niezgodne z wielką i poważną miłością moją dla niej, z wiarą w jęj przywiązanie do mnie, ze spokojem jaki każdy człowiek myślący powinien zachowywać w czuciach i postępach swoich! Tak rozmyślał i coraz spokojniejszym się stawał, a jednak czuł że nie było mu dobrze. Natura jego głęboka i marząca, nie mogła pogodzić się z takim hulastycznym rozgłosnym tłumem, w jakim znajdował się obecnie. Nie lubiła ona wprawdzie zatapiać się w samolubnym spokoju, i otaczać zupełną samotnością oddzielającą człowieka od reszty świata.

Przeciwnie, Bolesław czuł się związanym z ludźmi wielką miłością, którą miał dla kraju i ludzkości, radby więc był zapewne gwarowi i tłumom, ale jakim? Z dumą i radością stanąłby on może w kole radzającym o sprawach ogólnych, i podniósłby śmiały głos w obronie tego, co za dobro lub prawdę uważał. Może by nawet nie raził go dźwięk broni i huk

kopyt końskich, ale tańce, szmer słów pustych jak bańki, a lekkich jak motyle, ale cały ten chaos rozmarzenia, próżności, miłostek i obmów, nie był dla niego.

On od dzieciństwa skąpał się w głębokiej ciszy pól, owiał go i na wskrós przeniknął uroczysty szmer gaju, który w długie zimowe noce szumił nad jego słomianą strzechą i jęczał po załomach domu — surowa i mozolna praca zahartowała mu serce, a myśli szerokie i miłość szeroka jakimi okrywał piękny świat boży i drogi kraj rodzinny, wlały w jego ducha powagę i tę spokojną tęsknicę, co dziwnym wyrazem prześladała w jego spojrzeniu. Wszelkie radości jego życia były tak głębokie, jak dno morza, i tak ciche jak ono.

Wznosiły się one w jego duchu kryształowemi płatami marzeń, płonęły purpurą koralu, ale nie lubiły wychodzić na jaw i umiały wybuchać rozhukanymi falami głośnego wesela.

Złe więc mu było i duszno na Adampolskiej zabawie, a niewyraźne przecucia kołatały mu wciąż do serca. Daremnie je odpędzał; — przed wzrokiem jego jak zakłęta stała wciąż Wincunia z błyskawicami w oczach, z ręką miłośnie opuszczoną ku młodzieńcowi, który ją namiętnie do ust przyciskał.

(d. c. n.)

Korespondencja z Paryża.

przez K. Gr.

(Dalszy ciąg).

Treść. Domysł przyczyny chłodnej temperatury tegorocznego lata — Czem jest kula ognista nazwana słońcem? — Obserwacja francuskiej ekspedycji nad zaćmieniem słońca d. 18. Sierpnia r. z. Widmoskop wyniosłości na słońcu — hipoteza p. Faye'a — Usługa fotografii przy obserwacji zaćmienia.

Początkowo zimne lato, wywołało dziwny domysł przyczyny tej zmiany temperatury, pomieszczony w Journal officiel. Dziennik ten zastrzegłszy, iż nie bierze na siebie odpowiedzialności za doniosłość naukową, dowodzenia wyjaśniającego ten niezwykły fenomen, powiada, że na tarczy słonecznej od pewnego czasu, pojawia się znaczna ilość plam, tak że słońce zdaje się być pokryte masą białych płatów rozłożonych na tle ciemnym popielatym. Plamy więc te odgrywając rolę jakby ekranów, zasłaniają źródło światła i ciepła, i tym sposobem temperatura ziemi musi być chłodniejsza jak zwykle. Domysł ten nazwalibyśmy dziwnym, bo podobne brednie nie z nauką nie mające wspólnego, w ognisku wiedzy muszą się podobnemi wydać. Wprawdzie plamy te wielkością przenosząc po czterokroć całą powierzchnię ziemi, dochodzą czasami w średnicy do siedemnastu tysięcy mil, są przytem bardzo liczne, gdyż naliczono samych większych w jednym dniu obserwacji do trzydziestu trzech: gdyby więc były owemi olbrzymimi ekranami, mogłyby najskwarniejszą porę lata w chłodną jesień przemienić, — ale nauka nadaje im inne znaczenie.

Czem jest ta olbrzymia kula ognista nazywana słońcem, w której obszarze moglibyśmy pomieścić ziemię z księżycem wraz z przestrzenią zakreślaną przez niego obrotem około ziemi? Potrafiono ją zważyć z odległości przeszło dwudziestu milionów mil, wymierzyć jęj powierzchnię i objętość, oznaczyć czas obrotu około siebie samęj: a dotąd nie wiemy nie zgola, na pewne, czem jest właściwie to niewyczerpane ognisko światła i ciepła? Jestże to ciało stałe lub płynne, lub masa gazów płonących?

Według przypuszczeń niedawnych, pobitych jednak świeżemi postrzeżeniami, słońce miało być ciałem stałym otoczonym płonącym gazem, który rozdzierany nieznana siłą, dawał cząstkowy obraz samego słońca, z tą ową plamą jakby cienką otchłaniem, w głębi których ziemia utonąłaby jak mały kamień w przepaść rzucony. Zeszłoroczne całkowite zaćmienie słońca w dniu 18 Sierpnia przypadło, podało materiały do nowej teorii, głównie zebrane przy pomocy widmoskopu, narzędzia odgrywającego ważną niezmiernie rolę przy analizie światła. Do wyprawy mającej je obserwować należeli uczeni, Niemiec, Anglii i Francji. Do ekspedycji francuskiej uposażonej na przedstawienie ministra Duruya nadzwyczajnym kredytem 50, 000 franków, należeli p. p. Stephan dyrektor obserwatorium cesar-

skiego, Fisserand astronom, Rayet fizyk, Chabiraud technik, i dowódca okrętu Hildebrand mechanik. Za punkt obserwacji naznaczono Wah-Tonne w pobliżu wyspy Malaki. Głównym zadaniem ekspedycji było zbadanie błyszczących na słońcu wyniosłości, które pierwszy raz dostrzeżone podczas zaćmienia z roku 1842 i badane następnie w ponowionem zaćmieniu w r. 1860, nie doprowadziły do żadnych stanowczych wniosków, objaśniających naturę tego zjawiska. Zaćmienie zeszłoroczne, mające w zatoce Siamskiej i w Cambodje trwać przez minut sześć i sekund czterdzieści, przypadało w warunkach wyjątkowych, co do czasu swego przebiegu i co do narzędzi nieznanych przedtem, a w jakie ekspedycja dostatecznie była zaopatrzona. Najważniejszym z nich był widmoskop, pozwalający oku astronoma sięgać w nieskończoność i analizować materię tworzącą gwiazdy. Dostatecznym do tego jest pryzmat szklany, umieszczony na drodze przepływu promienia świetlanego, który rozkładając go na barwy światła wchodzące do jego składu, na przeciwną stronę przedstawia pas barwisty przypominający tęczę. Jeżeli światło przez pryzmat przepuszczone jest słoneczne, to na ową tęczę dostrzedz można tysiące prążków czarnych, które nikną, gdy światło wypływa z ciała płonącego stałego lub płynnego, i tęcza czyli widmo jest w ten czas zupełnie czyste. Widmo podobne z gazów rozpalonych otrzymane, jest złożone z prążków ślicznie błyszczących, otrzymane zaś z jądra rozżarzonego, otoczonego masą gazów, przetrzyte jest zawsze liniami ciemnymi.

Linje te ciemne i błyszczące długo przez fizyków były niewytłomaczone, aż wreszcie doświadczenia Talbota i Brewstera, wykazały, że wszelkie linje świetlne na widmie słonecznym obserwowane, pochodzą z gorzenia ciał znanych, które doprowadzone do związku z płomieniem światła podobnej zupełnie wydają barwy. Tym sposobem porównując widma sztucznego światła ze słonecznym, przekonano się, że w słońcu znajdują się pewne pierwiastki ziemni właściwe, jak magnezyn, żelazo, glin, sól, wapń, nikiel, potas, baryt, chrom, cynk, mangan i miedź. Innych jeszcze nie dostrzeżono, chociaż każda materia przy gorzeniu daje znaki charakterystyczne. Ale analiza światła dopiero od lat dziesiątka ze szczególnem zamiłowaniem jest prowadzoną; co więc jest jeszcze niejasnym lub niewiadomym, dalsze badania zapewne wytłomaczyć nie zaniebają. W teorię jednak linii ciemnych, trudności większe się przedstawiały, i dopiero w r. 1860 Kirchhoff i Bunsen ogłosili, że w widmie w ten czas linje ciemne znajdują się, jeżeli po za płomieniem z którego światło przez pryzmat szklany zostaje przepuszczone, znajduje się ognisko inne równie silnego światła. Na poparcie swego twierdzenia, przytaczali doświadczenie z sodą, która rozpalona dawała świetną linję żółtą; gdy jednak za jej płomieniem, umieszczono światło elektryczne, linja błyszcząca natychmiast znikła, a w jej miejsce występował prążek ciemny odpowiedniej zupełnie wielkości. Ponieważ więc na widmie światła słonecznego znajdują się linje ciemne, wniosek z tego wypływał naturalny, że słońce otaczają rozpalone pary, których promienie światła, chłonąc samo słońce, stanowiąc ognisko jeszcze potężniejsze.

Teoria ta przechodziła przez różne rozbiory i krytyki, aż wreszcie wytworzyła jedno zdanie, uznane dziś przez naukę jako hipoteza najbliższa prawdy, że słońce nie jest ciałem ani stałym ani płynnym, ale płomienną gazową kulą, a płamy na niej pokazujące się, pochodzą z ruchu gazów płonących, to podnoszących się to opadających. Że zaś siła wypływu światła jest silniejsza przy powierzchni a nierównie słabsza w samym ognisku, tam więc gdzie prądy wysuną się na wierzch, materję płonącą, muszą rozpryskać i miejsce to zaciemniać. Teoria ta p. Faye'a najwięcej znajdująca dziś zwolenników, znalazła poparcie w obserwacji dopełnionej przy zeszłorocznem zaćmieniu. Wyniosłości bowiem na słońcu dostrzeżone, uważane przedtem to za góry wierzchołkami przerywające granice atmosfery słonecznej, to za wytryski światła, pokazały się być natury gazowej, utworzonej przez kolumny gazów płonących złożonych głównie z wodoru. Widmoskop jak najwyraźniej widmem wypisał to postrzeżenie i tym sposobem potwierdził hipotezę p. Faye'a, która dalej badana być bardzo może, że się w pewnik naukowy przemieni.

Wyniosłości bowiem owe wystające po za krawędź

z obwodu tarczy słonecznej, badane raz tylko przy zaćmieniu jej przez księżyc, a więc w osobności bez mieszania się do nich promieni całego słońca, teraz wedle metody wynalezioną przez Janssena, mogą być studjowane w każdym czasie, bez oczekiwania na całkowite zaćmienie. Ale nie tylko badania ścisłej nauki przyczyniły się do tak stanowczych odkryć, fotografia nawet złożyła świadectwo że przypuszczenie gazowej natury swych wyniosłości ma słuszną zasadę. Odbicia bowiem podczas ostatniego zaćmienia dokonane, przedstawiają je bardzo wyraźnie, ale tak różne zarazem, że zważywszy tylko sześć minutowe trwanie zaćmienia, nie można tego niczemu innemu przypisać, tylko niezmiernie szybkości co do ich kształtów zmianie, jakiej podlegać mogą jedynie masy gazowe. Wysokość niektórych tych prądów gazowych, ludzie naukowci naznaczają na 100, 000 mil angielskich, czyli blisko 24,000 mil polskich.

Pogadanka.

Kąpiele mineralne w Busku.

— Aj! doktorze ratuj! zawołałem jednego poranka, którego z przyczyny bólów w całym mojem cielsnem otoczeniu, żadnym sposobem pięknym nazwać nie mogę.

— Cóż takiego? — zapytał zacny eskulap, patrząc ze zdziwieniem na moje pulchne, rumiane policzki.

— Tu strzyka, tam kole — odrzekłem — tu dolega, tam dokucza, jakieś drgania, rwania, słowem noga prawa gwałtem pragnie wyłamać się z obowiązków przez naturę jej wskazanych. Ratuj doktorze!

— Zobaczymy — odrzekł medyk, i nuż badać, wypytywać się, pukać, stukać, nadłuchiwać, i wreszcie namysłiwszy się, rzekł z powagą.

— Trzeba jechać do Buska.

— Do Buska?

— Bezwarunkowo, i to zaraz nie zwlekając ani jednej chwili.

— Zgoda — więc jadę, ale którą?

— Jedź na Radom i Kielce kurjerką — odezwał się do mnie jeden ze znajomych.

— Ale kto słyszał tyle mil jechać końmi — odparł drugi — przeszło trzydzieści mil to nie bagatela! Jedź koleją do Piotrkowa. Zkąd zaraz idzie kurjerka pocztowa do Kielc.

— Tak, — odezwał się trzeci — i tłucz się na kołach mil dwadzieścia przez noc całą.....

— Cóż to znaczy kurjerką, w wygodzie i w osłonięciu.

— To już lepiej na Zawiercie koleją — odparł przeciwnik jazdy na Piotrków. Z doradców żaden nie znał drogi przez siebie zalecaną, postanowiłem zatem jechać na Piotrków, do czego wielką pomocą stała się owa kurjerka do Kielc idąca. Pozostałe sześć mil do Buska, choćby przyszło przetłuc się na bryczce, nie były już zbyt zbyt straszną rzeczą. Pojechaliśmy więc na Piotrków. Pociąg warczał, syczał, gwizdał, w oczach migały się nam budki strażnicze, osady, wioski, miasteczka, wreszcie zawołano: Piotrków! i wysiedliśmy. Była godzina czwarta po południu, kurjerka do Kielc odchodziła za dwie godziny. Punkt o szóstej stawiliśmy się w gmachu pocztowym. Na podwórzu stała zwyczajna bryka bez okrycia, wypchana sianem wyżej nad pół grabki.

— A gdzie kurjerka którą mamy jechać? — zapytałem pocztyljona.

— A toć stoi — odrzekł wskazując na ową brykę.

— Ale to bryka, nie kurjerka.

— Już ci bryka, ale że zabiera pasażerów, więc kurjerką się nazywa.

— Więc na każdej stacji będziemy się przesiedać i przerywać ze wszystkimi manatkami?

— A jakże, na każdej stacji dadzą inną brykę i inne konie.

— I zawsze bez budy?

— A bez budy, bo to poczta wozowa.

— A niech cię Bóg kocha! — zawołałem z kwaśną miną — to mi niespodzianka!

W tem deszczyk co kropił ciagle jak kropidłem, zaczął siać jak przez sito. Podróżnych było cztery osoby, nas dwoje, znajomy nam obywatel z pod Kielc,

i jakaś pani z malutkim pięcio-miesięcznym dzie-

kiem na rękach. Upakowawszy tłomoczki, siedzenie chciano rzeczywiście zrobić jak najwygodniejsze, i usłano je wysoko ze świeżego, wonnego siana, ale każda przesada zwykle nie wychodzi na pożytek. Panie zaledwie się wgramoliły, my zajaliśmy miejsce na koźle. Panie siedziały jakby zawieszane w powietrzu, bez oparcia zarówno dla rąk jak nóg, my jak myszy na pudle, gotowi w każdej chwili do wyskoku.

— Pocztyljonie zmiłuj się! siedzenie za wysokie.

— To się utrząsie, na szosie nie brak kamieni.

— A więc ruszaj w Imię Boże!

Konie parsknęły, zadudniły, zatrajkotały i ruszyliśmy w drogę. Bruk miejski pełnił swoją powinność. Bryczka trzęsła się, podskakiwała, wpadała w wyboje, towarzyszek nasze przesuwali się to w prawo to w lewo, my poprawiliśmy się a deszcz ciał kuranty, obiecując na noc całą nieodstępne swoje towarzystwo. Na zakręcie bryczka nagle zwróciła się na lewo, my pochyliliśmy się ku prawicy, uchwyciliśmy się jak komu była dogodniej za ręce lub ramiona, ożwało się parę ach! dziecina zapłakała, koła stuknęły na wyboju, równowaga wróciła.... Odetchnęliśmy — spodziewana peregrynacja z koźla na ziemię na szczęście spełza bez skutku. Na drugim zakręcie, zamach jeszcze był silniejszy, na trzeci zabezpieczyliśmy się kijami, porwanymi z pobliskiego domostwa i wetkniętymi na boki bryczki dla oparcia. Zapewne były one przeznaczone na jaki użytek domowy, ale nam szło o matkę dzieckiem i siedzącą przy niej towarzyszkę. Zostaliśmy więc rabusiami.

Dalsza droga odbywała się zupełnie prawidłowo. Świat ciemniał, smutniał, deszcz pluskał, pocztyljon się kiwał, bryczka się trzęsła, trajkotała, a myśmy wszyscy otulali się jak mogli i osłaniając się derkami i parasolami myśleliśmy o biednej dziecinie, odrywającej się czasami cichym płaczem jakby na znak że żyło i czuło całą dolegliwość niewygodnej podróży. Na przepręgu w ostatniej stacji wyglądaliśmy jak topielecy świeżo wywleczeni z wody. Deszcz przebił całe ubranie, woda ciekła po szyi, twarzy, plecach, dostała się do obuwi, przebiła czapki na głowach, pełno jej było w uszach, oczach i nosie, kapala z brwi, wąsów i rzęsów, płynęła z włosów, a w siedzeniu aż pluskało tworząc ruchome miniaturowe sadzawki. Grzeczny urzędnik pocztowy, litując się nad naszą biedą, poczęstował nas gorącą herbatą, ta nas orzeźwiła nieco ale przebranie było konieczne. Stłuczeni wreszcie, niewyspani i przeziębieni, o godzinie siódmej rano stanęliśmy w Kielcach, przed zmierzchem w Busku.

Taką była nasza podróż do Buska; podróżni więc z Warszawy jadący niechże się strzegą drogi przeze mnie wybranej, i nie łudząc się szumnym tytułem kurjerki, udają się na Radom i Kielce, — w Zawiercie bowiem podobno nie zawsze furmanki można dostać do najęcia. W Busku zaraz spotkaliśmy się ze znajomym.

— Cóż to? — z tak małym przyjechałście pakunkiem? — zapytał po przywitaniu patrząc na małą naszą walizkę i torbę ręczną niewiele napchaną.

— A po coż więcej — odrzekłem — zabraliśmy tylko to co było niezbędnem.

— Ale tu wszystko jest niezbędnem; pościel, ręcznik, łyżeczka, szklanka, karafka, dzbanek, miednica, żelazko z duszą, mioteczka, szczotka....

— Ej! przesadasz, — przerwałem — za granicą turyści przez całe lata tylko z torbeczką w ręku włóczą się po całej Europie, a jednak wszędzie zastają wygodne dla siebie przyjęcie.

— To za granicą ale nie u nas.

— Ależ tu kąpiele mineralne, miejscowi więc mieszkańcy przyzwyczajeni są do przyjmowania licznych gości corocznie Busk nawiedzających.

— Na nieszczęście jeszcze się nie przyzwyczaili, i po większej części są pewni, że cztery kąty i piec piąty są aż nadto dostateczne do zasłużenia na nazwę porządnego mieszkanka. Wprawdzie pomiędzy temi kątami płaczą się różne graty nazwane meblami, ale jeżeli cię krzeszko nie zawiedzie, i za usiedzeniem nie odleci tylne oparcie lub nie trzaśnie noga, to z pewnością w nocy zapadniesz się w łóżku z rumotem, jakby dom cały rozsypał się w gruzy.

Trafem jednak w wyborze mieszkania szczęśliwsi byliśmy od innych. Pomieścił nas p. kasjer przy zakładzie kąpielowym, w dwóch ogromnych pokojach, za dwa złote dziennie, i staraniem swoim zao-

patrzył we wszystkie niezbędne potrzeby, darząc przytem opieką i największą we wszystkim troskliwością. Gdyby nie to, obozowe nasze życie byłoby podobne do życia dzikich Irokezów, spiących na sitowiu i czerpiących ręką wodę do picia.

I cóż więcej powiem o Busku?

Kto nie wierzy w cuda, niech tu przyjedzie, a ujrzy: chromych odzyskujących nogi, na wpół ślepych cieszących się powrotem wzroku, schorzałych przychodzących do sił, okrytych ranami wyleczonych, ale przytem ujrzy także takie zaniedbanie, opuszczenie we wszystkim, taki nieporządek, niechlujstwo, z jakimi pewno u żadnych wód mineralnych się nie spotka! Gdzie się obrócić, wszędzie kurz, pajęczyna, śmiecie, brud, ruina, zgnilizna; tu brak szyby, tam zawiasy, tu lustro brudem obłożone, tam potłuczone w kawałki, a w łazience kąpielowej nie ma ani grzebienia, ani szczotki do włosów, ani ręczników, ani nawet wody do przylewki, której siedząc w wannie godzinę, gwałtem trzeba coś troszkę przysporzyć. Kąpiele tu bowiem robią się co godzinę, i raz wszedłszy do wanny, musisz się nią cieszyć bez względu czy za zimna czy za gorąca. Co do życia, to i liche i drogie. Jest tu niby aż cztery restauracje, najstarsza i najsmaczniejsza przyrządzająca jedzenie, jest cukiernia pana Otto i pani Smolarska. W tej gdzie my jadaliśmy, płataliśmy się wiecznie między pieczeniem wołową, cielęcą, czasami baranią lub kurczętami, a nieodstępną nigdy sztuką mięsa, łykowatą jak wióry i równie jak one smakowitą. Było to po części winą kuchni, ale i mięsa dostarczanego przez jedynego rzeźnika, sprowadzającego wywłoki z całego świata, zaledwie trzymające się na nogach. Czy wychudzone te nieboraki miały ozory, cynadry, polędwice, wątróbki, nóżki, mostki i t. p. nie umiem powiedzieć, bo w daniach naszych obładowych ani się razu nie pojawiły. Obiad kosztuje aż złp. 2 gr. 10, przesyć się nim z pewnością nie można.

Muzyka choć nie pierwszorzędną, ale da się słuchać z przyjemnością. Grywa w zakładzie kąpielowym codziennie do południa, a wieczorem na rynku w mieście lub przy parku, który pięknie urządzony, utrzymywany jest bardzo starannie przez miejscowego ogrodnika.

Jest tu także i teatr pod dyrekcją p. Miłosza Sztengla, nadspodziewanie wcale z niezłych złożony artystów. To też publiczność dosyć go licznie nawiedzała, ale budynek w jakim się mieści, cóż to za szkaradna dziura!

Na tem kończę moją pogadankę z Buską. Za powrotem obszerniej się rozgamam o samą mineralną wodzie i jej skutkach, do czego pozbierałem bardzo ciekawe i zajmujące szczegóły.

U S T Ę P

Z POBYTU W DOLINIE GRINDELWALD.

(Dokończenie.)

Wieczne śniegi po wklęsłościach na bokach gór, stopione przez takie powiewy, następnie zamarzają, na te lodowe skorupy przypadają nowe śniegi, które takieże samą ulegają przemianom. Szczególny przedstawia widok do morza lodowe, pochyło zbiegające w nieruchomych falach ku dolinie pomiędzy olbrzymimi górami, rażąc lśniąca białością wśród skał czarnych. Nigdzie nie ma takiej masy nagromadzonych lodowców co w Oberlandzie berneńskim, i to także nie mało ściągają ciekawych i badaczy; lecz te badania nie jednym smutnym zaznaczone wypadkiem. Zdrowe rozpeknięcie, nie raz jeden grób straszny zgotowały dla śmiertelnego przewodnika. Nie każdemu udało się tak szczęśliwie z pośród najgroźniejszego niebezpieczeństwa ująć zagubę, jak oberżyste Bohren, którego przygody świadom każdy ze zwiedzających Grindelwald. Wchodził on na lodowiec pomiędzy górami Wetterhorn i Mettenberg, gdy naraz uczuł jak mu pod stopami lód ustępuje i wpadł w przepaść, szparę na głębokość kilkuset stóp. Ze złamaną ręką leżał żywcem pogrzebiony pod olbrzymim lodowym sklepieniem. Dojrzał on w ciemności kanał którym wody odpływały, i wśród najstraszliwszych boleści wyczołgał się tą drogą pod lodem aż do groty z kądem Lutochina wypływa, i tam z niewysłowioną radością

znów światło dzienne ujrzał. W r. 1868 Krystjan Bohren żył jeszcze. Wypadek ten przytrafił mu się w najpierwszej jego młodości, jeszcze w przeszłym stuleciu, dziś ma on przeszło lat 90, i dwadzieścioro czworo zdrowych dzieci.

Chcąc się przypatrzeć bez narażania się na niebezpieczeństwo tym najrozmaitszym gór widokom, najlepiej zasiąść w oknie austeryi Piotra Bohrena zbudowanej na wierzchołku góry Faulhorn, w r. 1832. Jest to jedna z siedzib ludzkich najwyższej w świecie położonych, bo na 8260 stóp nad poziomem morza. Dawniej za najwyższą uważano klasztor S. Bernarda, lecz ten jest prawie o 600 stóp niżej. W prawdzie na Faulhorn tylko w lecie zamieszkują. Z tamtąd wzrok ogarnia całą masę Alp berneńskich, grzebienie, szczyty, zawieszane między niemi lodowce, garby skałami najeżone, rozłamy, widok stawiający przy oczu wielkie natury przewroty, jakim kula ziemską ulegać musiała. Faulhorn jest mniej wyniosły niż południowy gór szereg okružający dolinę, spadek jego schodzi tarasami beładnie jeden nad drugim upiętrzonemi, między któremi pastwiska poprzerywane wąwozami, rozdółami, a w tych małe jeziora i lodowce w miniaturze. Z pastwiska Bachalp stojącego w szalety nad jeziorem, rozciąga się przed okiem przepyszny krajobraz. Dolina, okalająca ją malownicze góry, skały, lodowce, a za niemi dalsze gór szeregi, przed któremi korzą się teraz pierwsze, chociaż stojącym w dolinie dumnie imponują. Tu Watterhom w głębi doliny sterczy groźnie jak mur prostopadły, czarny, olbrzymi; dalej Mettenberg i Eiger, którego profil podobny do łwa leżącego; za niemi wybiegły dwoiste wysokie szczyty Schreckhörn, a jeszcze dalej najwyższy z gór Bernu Finsterahorn, szczyt nagi, cienki, niby wystrzelona piramida z granitu. Wspaniała ta panorama na lewo ku wschodowi groźnemi masy wiąże się z Faulhornem, od którego na lewo grzbiecie coraz się zniżają, okragleją, i tak zbiegają z południowym łańcuchem, że zamykają wreszcie dolinę, zostawiając tylko ciasny wąwóz, jakby między dwoma murami, na wyjście Lutochinie i drodze do Lauterbrunu.

Na tej stronie liczne są ślady rozpadania się gór i staczania ich odłamów. Świadczy o tem płaszczyzny wierzchołki, przedstawiające na swój powierzchni żywe wnętrzości ziemi, i ogromne opoki, i gruz drobniejszy w tej części doliny porozręczane. I za naszych czasów miewają miejsce podobnego rodzaju gwałtownie skał przenosiny, lecz traącyje przechowały wspomnienie dawniejszych okropnych swoich skutkami. Między innemi góra Burg nosi wyraźne piętno takiej katastrofy, która w X stuleciu zagrzebała pod rumowiskami całą wioskę. Zgodnie z niemem świadectwem gruntu, podanie górali przekazuje potomności tę chwilę straszną, a powieść szeregiem wieków przechodząca przez usta ludu, pod barwą cudowności, nacechowała się głęboką myślą moralną, jakiej nie trudno dopatrzeć się w największej części ustnych podań ludowych.

„Przed laty w tem miejscu istniała wioska prześliczna, zwana Schillingsdorf. Mieszkańcy jej żyli bardzo szczęśliwi, wszystko im się uśmiechało: okolice urocze, powietrze zdrowe, opłotność wszystkiego, — nie znali co niedostatek i kłopot, co troska i smutek. Jak to jasne niebo, jak te łąki zielone, jak te błyszczące białe na górach śniegi, myśl ich była radosną. Lecz ta nieprzerwana pomyślność serca im wyziębiła, serca ich stały się twarde jak otaczające ich skały i opoki zimne jak te wieczyste lody co nad głowami ich spoczywają nie toniejąc nigdy. Pewnej nocy, gdy straszna huczła burza, obcy pielgrzym przybył do Schillingsdorf. Przychodzień był biedny, znużony, przemokły i ziębły. Napróżno pukał od drzwi do drzwi, błagając o przytułek dopóki burza nie ściechnie. Wszędzie odepchnięty, zełżony, padł na wpół omdlały przed progiem domku najbiedniejszego, położonego na samym końcu wioski. Ubodzy mieszkańcy tej chaty zaprosili nieznajomego, aby wszedł pod ich dach, i ugościli go serdecznie dzieląc się skromnym posiłkiem.

Lecz zaledwie pielgrzym zasiadł u ich stołu, burza rozszrożyła się gwałtownie, trzask gromów rozległ się po górach, wichra dała z przeraźliwym świstem i hukiem, szarpał chmury, wstrząsał domostwa, których mieszkańcy pozywali się z pościeli, przejęci trwogą jakby w godzinie sądu ostatecznego;

zdawało im się że z tych miotających się chmur czarnych, wśród grzmotu i błyskawic odzywa się głos straszliwy, zwiastujący zagubę niegościńnej osadzie. I oto zadrżały opoki, ziemia się wstrząsała jak gdyby się zapasła miała, potężny cypel Burg zachwiał się na swych posadach, a oderwane z niego odłamy olbrzymie, staczały się raptownym pędem zgniatając wszystko, druzgocząc, siejąc na okół zniszczenie. A tuż za niemi sypnęły się gradem głazy, i jakby potop piasku, kamyków i błota, i pod tym nawałem zniknęła wioska bez śladu. Ocalała tylko nędzna chatka, jedyna która dotąd istnieje. Mieszkańcy jej, ci właśnie którzy opuszczonego pielgrzyma przytulili, padli byli na kolana równie jak wszyscy inni. Ujrzeni oni wśród czarnej nocy toczący się ku nim odłam opoki większy niż ich chata. Lecz nagle głaz olbrzymi wstrzymał się w swym pędzie: na jego krawędzi siedział obcy przychodzień, spokojny wśród straszliwej żywiołowej walki, skinięciem ręki powstrzymał inne toczące się skały sztuki. Jeszcze chwil kilka a pielgrzym powstał, podrosła postać jego do olbrzymich rozmiarów, zwolna kształty jego stawały się jakby przezroczyście, nieokreślone, jakby się rozpląwały w obłoku świtającej jutrenki. Gdy znikł zupełnie, słońce oświeciło chaos gruzów na miejscu zabudowań wioski Schillingsdorf.... wszyscy zginęli, bez śladu, ocaleni tylko miłośni!

Przegląd muzyczny.

MUZYKA INSTRUMENTALNA POKOJOWA.

Iq. Komorowski. Kwiaty (37½) w tonie as. (od es do). Odznaczają się istotnie piękną melodią, choć nie posiadają cech wysokiego artystycznego wartości. Zresztą Komorowski ma zasługi dla pieśni krajowej znaczne, — to co zrobił to się nie zapomina tak prędko. Wieleto młodych piersi przekonało się dopiero przez niego, że polskie piosenki nie drapią bardzo gardła — i że można ich słuchać z zadowoleniem.

O U B I O R A C H

Korespondencja z Paryża

Kostiumy krótkie tak się dziś upowszechniły, że obok nich ani zobaczyć długich sukien nie tylko na ulicy, ale nawet na wizytach. Suknia powłoczysta służy wyłącznie do wieczornego ubrania, i na wielki obiad proszony. W odrobinie kostiumów zwłaszcza wizytowych, nadzwyczajna daje się widzieć rozmaitość.

Uważaliśmy najmłodniejszy kostium z magazynu Gagelin'a z materji jedwabnej w paski białe i zielone. Pierwsza spódniczka miała pięć wąskich przy-marszczonych falbanek; u każdej z nich główka z gładkiej zielonej materji. Druga spódniczka otwarta z przodu, objęta falbaneczką, dochodziła tylko powyżej kolan, do miejsca gdzie się zaczynał garnirunek pierwszej spódniczki. Stanik, a raczej mały palecok pod szyję, przedłużony z tyłu nakształt fraczka, przepasany był szeroką szarfą z gładkiej materji zielonej.

Do bardzo modnych, należą też kostiumy białe barzowe, na spódnicze jedwabnej w białe i kolorowe pasy. U pierwszej spódniczki idzie szeroki wolant ukośny lub poprzeczny. Druga spódniczka krótka tworzy tunikę ze stanikiem i z szerokimi rękawami; tunika ta ogarniowana pliską jedwabną i frendzlą w odpowiednim kolorze, zapina się na boku. Dopełnia ozdoby, szarfa w paski związana w tyle na wielką kokardę.

Inny podobny kostium fularowy, w kolorze niewarowym, miał spódniczkę w białe i niewarowe pasy, z szerokim wolantem poprzecznym. Wierzchnia spódniczka bardzo krótka z gładkiego fularu, podpięta była po bokach na klapki wychodzące od dołu a sięgające do stanika, klapki te podnosiły z boków spódniczkę. Szarfa z wielką kokardą w tyle, objęta była pliską białą fularową, równie jak pasek i klapki. Stanik wycięty czworograniasto, tak na plecach jak

i na piersiach, ogarniowany był ruszą; na wykroju pod spód szedł stanik wysoki w paski. Rękawy z gładkiego fularu kończyły się u ręki takąż ruszą.

Z kostiumów cokolwiek cieplejszych, które mogą służyć do jesienno-ubrania, uważaliśmy fijołkowy popielinowy. Pod spód szła spódniczka w szachownicę fijołkową i czarną, bez żadnego garnirunku. Na to druga spódnica gładka, podpięta z boku na festony rozetami czarnymi. Dół spódnicy zakończyła frendzla jedwabna fijołkowa, nad nią szły trzy plisy czarne atlasowe. Paletot do tego wolny, znacznie przedłużony z tyłu, podpięty po bokach rozetami, przybrany frendzlą i potrójną plisą, przepasany szeroką szarfą czarną. Końce u szarfy nie zbyt długie, miały frendzlę fijołkową u dołu, karczek u paltota, oznaczony był potrójną plisą i frendzlą. Rękawy średniej szerokości kończyły się odpowiednio.

Z kolorów najmodniejszy jest: piaskowy *Sable d'Abyssynie*, śliwkowy i chrabaszczkowy. Widzieliśmy piękny kostium piaskowy jedwabny, na zielonej jedwabnej spódnicy. U tej spódnicy było kilka falbanek jedna nad drugą, najwęższa z główką wychodzącą do góry. Wierzchnia tunika piaskowa bez żadnego garnirunku, miała boki odwinęte na wierzch, podbite materją zieloną. Stanik otwarty podobnie miał klapki, także mankiety odwijaly się od rękawów. Szarfą zieloną dopełniała ubrania.

Staniki otwarte powszechnie się podobają, wiele z nich podcinają czworograniasto na przodzie, inne schodzą się jak chusteczka w połowie piersi. Pod spód kładzie się chusteczka muslinowa lub tiulowa. Na wierzch zarzucają zwykle do wyjścia drugą chusteczkę czarną koronkową, lub mantynową, garniowaną wolancikami koronkowymi. Jest to pierwsza nowość tegoroczna.

Na zakończenie damy tu kilka całkowitych ubiorów dziecińczych.

Ubranie dziesięcioletniej dziewczynki. Spódniczka biała muslinowa, z trzema falbankami z wykrojonym stanikiem i bardzo krótkimi rękawkami. Na to spódniczka czarna mantynowa, złożona z fartuszka i z trzech bardzo szerokich szarf, spadających w tyle, które tworzą jakby baskinę. Tak fartuszek jak i szarfy ogarniowane ukośną falbanką. Szelki jedwabne czarne zakończone falbanką od strony ramienia, dopełniają całości.

Ubranie ośmioletniej dziewczynki. Spódniczka gładka jasno szafirowa popielinowa lub fularowa, na to druga w kolorze piaskowym zrobiona razem ze stanikiem, bez rękawów, stanik wykrojony czworograniasto. Spódniczka ogarniowana u dołu ruszką szafirową, wzdłuż spódniczki i stanika, przechodzi dwa razy takąż ruszką, i tworzy zarazem szelki. Stanik na wykroju obszyty ruszą, pod spód staniczek biały muslinowy z długimi rękawami. Bnciki piaskowe dosyć wysokie, pończoszki białe, kapelusik okrągły przybrany pączkiem bławatków.

Ubranie sześciioletniej dziewczynki. Sukienka popielata alpagowa, nad obrębem plisa takąż sama wycięta u dołu w zęby; plisa ta objęta zielonym fularem, nad nią trzy wąskie zielone pliski. Stanik z tyłu pod szyję, z przodu podcięty czworograniasto, objęty dwa razy zieloną plisą. U rękawów takiż epolet i mankiecik. Kapelusik słomkowy, ubrany bukiecikiem z białych asterków i zieloną wstążeczką.

Ubranie dziewięcioletniego chłopczyka. Zakietka z sukienka w kolorze ciemno piaskowym, dosyć długa, upięta na guziki. Majtki szerokie do kolan, lampas naszyty guzikami. Buciki ze skóry naturalnego koloru, krawacik niebieski, kapelusik słomkowy przepasany niebieską wstążką.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkusowego.

N. 20—21. Letni kapturek z kwadratowej chustki.

Model nasz przedstawia strojne ubranie głowy, z koronkowej chustki lub tiulowej, oszytej gipiurą na kolorowej jedwabnej podszewce. Podług N. 20 widzimy, że chustka kładzie się prosto, nie rogiem nad czoło; tak po bokach z przodu jak z tyłu spadają dwa końce, w ten sposób ułożone, żeby formując rodzaj ranwersu na głowie, spinały się pod

brodą. Mały kwadracik N. 21 opatrzony odpowiadającymi znakami, daje wyobrażenie jak się chustka składa; gwiazdki wskazują miejsca, gdzie się chustka spina pod brodą. Trudno nam to szczegółowo opisać, bo ułożenie zależy od wielkości i kształtu głowy, który zmienia rodzaj upięcia kaptura. Kokardy odpowiednie jedwabnemu podszyciu kaptura, dodają świetności. Można coś podobnego urządzić z kaszmiru; zamiast ranwersu układa się podobnie jak to pokazuje dolny brzeg N. 20 w tyle, co stanowi bardzo charakterystyczne ubranie głowy. Upięcie kokard lub koronek na wierzchu, zależy zupełnie od gustu i chęci urozmaicenia.

N. 22—23. Pudełeczko do szpilek z przykrywką.

Pudełko to opatrzone przykrywką żeby się z niego niewysypywało, szczególnie jest użyteczne w podróży; ma tyle przegródek, że mieszczą osobno szpilki białe czarne, do włosów, haczyki wszelkich gatunków w jednym miejscu, przez co uwalnia nas od nieznośnego szukania. * W następującym rzadku, przybiera się białą nitkę; obadwa pierwsze i ostatnie oczka, robią się gładko, następnie idą naprzemian: 3 podniesione oczka i 3 gładko prerobione. Po czterech podobnie obrobionych rzadkach, które na prawej stronie, gładko wyglądać powinny, robi się kolorową włóczką 1 rząd gładko, w których poprzednio podniesione tylko oczka, gładko się przerabiają jak inne, a następnie 3 rzadki odrobione tak, żeby na prawej stronie występowały się robione na lewo. W podobnym następstwie od * aż do zaczęcia 24 kolorowego paska. Podczas pierwszego gładko odrobionego rzadka tegoż, trzeba w pierwszym i ostatnim białym kwadracie każde 1 oczko zdjąć, jedno przesunąć, co się powtarza w 12 kwadratach kolorowych, na obydwie środkowe kwadraty. Następnie idą 3 kolorowe paski, po nich biały rząd kwadratów, przy którym zaczyna się patka z dziurką, czerwono cała obrobiona. Patka wyglądająca podwójnie jakby była w koło robiona i rozplaszczona, robi się tam i na powrót w następujących przemianach: 1 oczko podniesione, nitka zostawiona przed oczkiem; 1 oczko gładko; znowu podniesione, z nitką przed oczkiem, i ciągle podobnie. Z roboty tej powinno wypaść, żeby oczka w poprzednim rzędzie, podnoszone, w następnym się odrabiali gładko, i przeciwnie. Przekłada się następnie połowa oczek na jednym drucie, połowa na drugim. Po odrobieniu podwójnych 8 rzędów, przyrządza się dziurka, a przybierając jeden jeszcze drut robi się najpierw na jednej, potem na drugiej.

Płaskie pudełeczko, 11 cent. długie $7\frac{1}{2}$ szerokie a $1\frac{1}{4}$ cent. wysokie, łatwo się daje z kartonu skleić, lub z pojedynczych części, powleczonych materją pozeszywać. Naturalnie że wszystkie części wpięć się obciążają materją zamocowaną, i dopiero z sobą łączą; — wieczko otrzymuje lekki pokład waty, w krąg wypikowany. Zszywanie części wypadające z wierzchu, pokrywa dość grubą, jedwabną sznurką. Między wieczkiem i pudełkiem wszywa się odpowiedni kawałek flaneli kolorowem dziurkaniem ozdobny, który chroniąc wieczko od zapadania, służy zarazem jako poduszeczka do igieł. Wewnętrzne podziałki widocznie na N. 22 dają się z kartonu powleczonemu również materją. Z wyjątkiem bocznych ścianek, przykrywa się podług pudełka nieco większy futerałik, dla łatwego wsuwania i wyciągania szufladki. (Obacz N. 23) Jako wzór do wyszywania wieczka podajemy pod N. 29 osobną rycinę. Wyhaftowane lub wyszyte wieczko, przykleja się na futerał zakładając pod spód brzegi materji, pokryte następnie glansowanym podklejonym papierem.

N. 27 i 28. Szelki na drutach dla małych chłopców.

Materjał: Biała bawełna (Estram; N. 4) Czerwona włóczka zefirowa, średniej grubości Stalowe druty.

Na dwie jednakowe szelki, osobno odrobione, wypada nałożyć po 31 ocz. kolorowej włóczki, która formuje wypukłe kratkowanie na desenie N. 28. Na podstawie przerabia się 1 gładko w tę stronę i 1 napowrót połowie oczek, 10 podwójnych rzadków, zbiera się znowu wszystkie na jednym drucie, odrabia się jeszcze 2 podwójne rzadki i kończy gubiąc z obydwóch stron po oczku, aż jedno tylko zostanie.

Z drugiej strony szelek są po dwie patki; na odrobienie tychże trzeba nałożyć wszystkie oczka,

a po zrobieniu 3. podwójnych rzędów, rozdzielić na dwie połowy. Robota dalej idzie podobnie jak w wyżej opisaną pojedynczą patkę, z tą różnicą, że tu się daje po dwie dziurki. Połączenie bawełny z włóczką w robocie, sprawia to że się szelki niewyciągają.

N. 29. Wyszycie na pudełku, teczki, i. t. p.

Materjał: Materja lub atlas, kawałek aksamitu, jedwabna sutaszowa plecionka, sznurek i kordonek w tym samym cieniu, czarny kordonek, złote nici, złota plecionka, karton, etc. Środek deseni na zielonem atlasowem tle, daje się z ciemno zielonego aksamitu, formującego owal, przytwierdzony zielonym sznurem i czarno przeszywaną złotą plecionką. Krzyżyki i złotą pletnią opasywane kropki, są zielone jak atlas; podobne ścięgi dane są przy ząbkach sznurka otaczających owal, i w środku szlaczka z jedwabnej plecionki danego w około. Pozostałe ścięgi po trzy razem dane, odrabiają się stosownie do ryciny 29. czarnym jedwabiem, lub złotą nitką.

Objaśnienia numerów dodatku.

Prócz powyższych opisów, podajemy na dodatku dwie formy czepków N. XIV i XV. Wprawna ręka, na podstawie formy może urządzić strojne nawet pokrycie głowy dla starszej osoby, dodając kokardę z wstążek przy tle tiulowem, przybranem suto neżykiem nad czołem z pukielkami wstążki Wierzch zdobi koronka lub spadająca z obu stron bogata barba.

N. XVI na dodatku, przedstawia sposób mieszania kwadratów kolorowego sukna na poduszkę pod nogi, która zastosowawszy formę do rysunku, wydaje się mozaikową.

N. VI dodatku, daje formę prostego muslinowego fartuszka, ubranego w koło składanymi ząbeczkami

N. VII przedstawia formę płóciennego nocnego czepka, oszytego w około niecianą koronką.

N. VIII daje formę szyfonierki z kieszonkami. Widzieliśmy takie w Paryżu, z glansowanego papieru, oklejane z wierzchu perkalikiem w pasy, odpowiednim do obicia buduaru.

Szyfonierki takie umieszczają się zwykle niedaleko gotowni, i służą na schowanie podręcznych drobiazgów, jak gąbki i innych przyrządów do użycia.

Najświeższe paryżskie formy i modele

zupełnie wykonane, wielkości naturalnej, za pomocą których z największą łatwością każdy zrobić może w domu u siebie najwykwintniejsze ubranie damskie, męskie i dziecięce, nabyć można przy ulicy Widok, numer nowy 14, mieszkania 4 na pierwszym piętrze, od godziny 9 rano do 5 po południu. Modele te i formy, które przed miesiącem dopiero w Paryżu wyrabiać zaczęto, mogą być bardzo przydatne i dla osób trudniących się krawiectwem. Sprzedaż na Cesarstwo i Królestwo, odbywać się może w tym tylko jednym domu, za upoważnieniem głównego domu w Paryżu. (10,756).

Listy i przesyłki pieniężne na sprawy, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkusowy z drzeworytami.

Opis haftów i krojów do Nr. 35 i 36 Tygodnika M6d, dołączony będzie przy N. 37 niezależnie od właściwego Dodatku do tegoż numeru należącego.

T R E Ś Ć.

N. 1. Suknia w pasy ubrana jednokolorowym materiałem. N. 2. Ubranie z mantylową pleryną. — N. 3. Przepaska na serwetę. — N. 4. Frywolitkowa wszywka z dwóch nitek. — N. 5. Wszywka z sutaszu i frywolitek „jedną nitką“. — N. 6. Kok z loków. — N. 7. Uczesanie z przepaską. — N. 8. Stanik z fałdami podłużnie wycięty. — N. 9. Koronka w listeczki. — N. 10. Koronka z sutaszu w szydełkowe pikoty. — N. 11. Letnie męskie ubranie. — N. 12. Kostium dla pań na wycieczki w góry. — N. 13. Okrągły kapelusz z wielkim wołem. — N. 14. Ubranie małej dziewczynki. N. 15. Bluzkowy fartuszek w klíny dla dzieci. — N. 16. Wycięta bluzka z karoczek. — N. 17. Wycięta bluzka z karoczek. — N. 18. Chustkowy abdelkader. — N. 19. Ubranie w ząbki do abdelkadera. — N. 20. Letni kapturek. — N. 21. Sposób składania kwadratowej chustki na letni kapturek. — N. 22. Pudełeczko do szpilek z przykrywką, otwarte. — N. 23. Pudełeczko do szpilek z przykrywką, zamknięte. — N. 24. Koniec barby do kołnierzyka N. 8, zamieszczonego w N. 35 T. Mód. N. 25. Mankiet do kołnierzyka N. 8 w N. 35. Ty. Mód. N. 26. Koniec barby do frywolitowego kołnierzyka N. 7 w N. 35 Tyg. Mód. — N. 27. Szelki na drutach dla małego chłopca. — N. 28. Robota drutowa na szelki N. 27. — N. 29. Wysycie na pudełka, teczki etc.

N. 1—2. Podróżne ubrania.

N. 1. Suknia w pasy ubrana z jednokolorowym materiałem.

Model nasz z miękkiego fularu „du celeste Empire“, w kolorze żółto-mais i niebieskim, przedstawia bardzo gustowne ubranie. Na spódnice w pasy, spada pasiasta tunika z czterech części, oszyta w koło niebieską falbanką i niebieskimi kokardami pończepiana. Stanik na plecach w fałdy ułożony i baskina palto także niebieskie, ozdabiają podobne falbany jak u tuniki; końce wąskiej szarfy oszywa frendzelka. Kapelusz okrągły z florenckiej słomy, ubierają wstążki niebieskie lub gaza.

N. 2. Ubranie z mantylową pleryną.

Suknię z piaskowej alpagi, zdobią dwa rzędy ząbków, atłasem brązowym objęte, z odpowiednią riaszą jako nagłówek. Peleryna czy talm paskiem przepięta, jak powszechnie teraz noszą, powinna być z piaskowego kaszmiru, ubierana listewkami z tego samego materiału, otoczonemi rulonikami brązowego atlasu. Brązowa frendzla dopełnia ubrania. Kapelusz słomiany z ranwersem, ubrany polnemi kwiatami i brązową gazową przepaską. Buciki ze skóry piaskowej.

N. 3. Przepaska na serwetę.

N. 3 przedstawia przepaskę, jakiej w wielu domach używają, dla odznaczenia właściciela serwet przy stole. Podana, wymaga na podspód kawałka tektury zwiniętej i sklejoną, żeby formowała kółko 12 cent. szerokie, z obu stron kolorowym atłasem powleczone. Na wierzch daje się kawałek odpowiedniej siatki, gipiurowym sposobem wyszytej, którą przytwierdza na podkładzie z obu brzegów dany garnir-

nek atlasowej wstążeczki. Kokarda robi się z 2 1/2 cent. szerokiej atlasowej wstążki. Deseń wysycia może być dowolny.

N. 4—5. Dwie frywolitkowe wszywki.

Skrócenie: *Pod. węz.* zamiast „podwójne węzłki“ utworzony każdy z 1 założenia, 1 ściągnięcia. P. zamiast „pikot.“

N. 4. Frywolitkowa wszywka z dwóch nitek.

Każden kwadracik wszywki złożony z czterech pół ząbkami połączonych listków konicyny, może służyć jako pojedynczy rzucik na bluzki, czepeczki i t. p. Najpierw odrabia się osobno środeczek każdego kwadrata, powstały z 4 malutkich pętelek o 4 pod. węzł. każda, do których przyrabiają się półzęby połączone pikotami ze środeczkiem. Każde kółko listka konicyny wymaga 20 pod. węz. i 1 pik. dołączenia w środku; każdy półząbek ma 6 pod. węz., 1 pik. jako połączenie i znów 6 pod. węzłków.

N. 5. Wszywka z frywolitek i sutaszu „jedną nitką“.

Szlaczek wszywki formuje z obu stron dany sutasz w ząbki, połączony środkiem frywolitkowemi kółeczkami. Na każde kółko, odrabia się 4 pod. węzł. 3 łączące pikoty, w odstępie 4 ciągle pod. węz. i znów 4 pod. węzł. Każde ukończone kółko zaczepia się, jak to ryc. 5 wskazuje, o pikot sutasza. Łącząca nitka między dwoma kółkami, powinna być tak długa, żeby zaczepiała drugie kółko w robocie o pikot poprzedniego, przez co kółka zdają się być pikotami jedynie spajane.

N. 6 i 7. Dwa uczesania głowy.

N. 6. *Kok z loków.* Przy dość długich i gęstych włosach, uczesanie to niepotrzebuje żadnych fałszy-

układa się w loki, dolna pokrywa krepinę tworząc kok bardzo foremny.

N. 7. Uczesanie z przepaską.

Włosy zakarbowane przed spaniem, powinny w rodzaju ząbków na czoło spadać; po nad nimi idzie rulon przepasywany kolorową wstążką, z odwracanemi niobami. Włosy tylne układają się w kok z pukli lub rulonów; kilka loków dopełnia uczesania.

N. 8. Stanik z fałdami podłużnie wycięty.

Krój na dodatku N. XII Fig. 44—47 P—y.

W najnowszych sukniach paryżkich, widzieliśmy znów staniki pod szyję, układane w fałdy na przodach, które cokolwiek w podłużny ząb wycięte, zakładają się na siebie w dół stanika. Odpowiednio do tego, i pasek otrzymuje mały ząbek z przodu. Do sukni letnich z materiału lekkiego, stanik taki robi się bez podszewki, zastępując ją dobrze leżącym płóciennym pod stanikiem, któryby należał obcisnąć figurę, a nie kępował ruchów; grubszym materiałem poddaje się perkal. Na przodzie Fig. 44 słowami odznaczyliśmy środek przodu, cyfrowanemi krzyżykami fałdy. Przy krajanu trzeba uważać aby materiał wzdłuż przodów, wypadał w prostym położeniu nitek. Zestawienie pojedynczych części ułatwiają litery, dobrze przypadające do siebie. N. 8 przedstawia stanik do jednokolorowej sukni, której spodnicę zakończy falbanka ukośnie krajana 5 do 6 cent. szeroka, z nagłownikiem 4 cent. szerokiej jedwabnej riaszy tego samego cienia. Odpowiednie spodnicy falbanki, ubierają rękawy, riasza oszywa wycięcie przodów, zapełnionych muslinową lub koronkową szmizetką. Pasek, spięty z tyłu na kokardę z szerokimi końcami, powinien odpowiadać kolorem i materiałem riaszy.

N. 9 i 10. Dwie szydełkowe koronki do podwleczenia wstążeczką.

Koronki te podwleczone aksamitką lub wstążeczką, mogą służyć jako oszyje staniczka na podspód. Opatrzne płóciennym paskiem dadzą się użyć jako stojący kołnierzyk, z odpowiednio przyrządzonym mankieciem.

N. 9. Koronka w listeczki.

Dobrawszy sutasz z pikotami, obrabia się go łańcuszkiem szydełkowym, zaczepiając co 3 pow. 1 śc. ocz. o każdy pikot sutaszu. Z drugiej strony sutaszu daje się znów 1 rzadek pow. oczek. przedzielanych 1 śc. ocz. które się wrabia w każdy * drugi pikot sutaszu. Następnie robi się 7 pow. oczek i 2 podw. słupki, tak, żeby pierwszy słupek w drugie pow. oczko, a ostatni słupek w pierwsze pow. oczko trafił. Obadwa słupki i na szydełku znajdująca się pętlica, przeciągają się 1 pow. oczk. W podobny sposób, odrabia się drugi listek poczem należy od * powtarzać. Na zakończające ząbki, robi się najpierw 1 rzadek 7 pow. oczek i 1 śc. oczk. na przemiany, uważając aby pominięte oczko, wypadało zawsze pomiędzy dwoma listkami; następnie każdy ząbek obrabia się 1 śc. ocz., 1 półsłupkiem, 7 słup., 1 półsłup. i 1 śc. oczko, co razem stanowi, obrobienie ząbków.

N. 10. Koronka z sutaszu w szydełkowe pikoty.

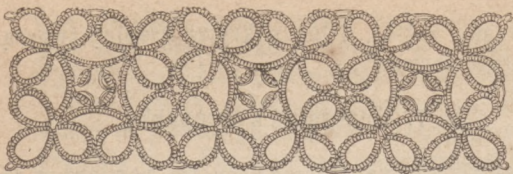
U spodu koronki robi się na przemiany w jeden pikot sutaszu 1 w drugi pikot 2 podw. słupki zawsze 3 pow. ocz. przedzielane. Prócz tego, robi się



N. 1. Suknia w pasy ubrana jednokolorowym materiałem.

N. 2. Ubranie z mantylową peleryną.

wych dodatków. Rozdzielone świeżo, lekko zakarbowane i odwrócone przed spaniem przednie włosy, w tył zaczesane, formują warkocze pod kołkiem idące. Górna część włosów pozostałych w tyle



N. 4. Friwolitkowa wszywka z dwóch nitok.

jeszcze 1 rząd słupek. Na zewnętrzne ząbki, trzeba zawsze wrobić 1 śc. oczko w każdy pik. sutaszu, potem szydełkowe pikoty z 7 pow. oczek, w których w pierwsze 1 słupek wrobić trzeba.



N. 6 Kok z loków.

N. 11. Letnie męskie ubranie.

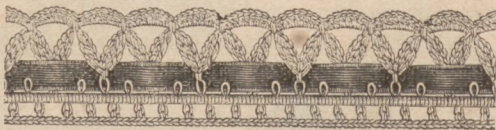
Krój na dodatku N. IX Fig. 29—31 A.—F.

Bardzo łatwy do odrobienia kobiecy rękaw, letni męski niegłęboki bez kołnierza, przedstawia niezmiernie wygodne ubranie, dla pań. Użyto

na model naszym zagłowego płótna, które można dobrać w różnych popielatych i żółtawych cieniach. Maszyna do szycia da się tu korzystnie zastosować. Podług Fig. 29 lewa strona przodów otrzymuje obstembnowanym obrysem, w górę opatrzoną stembnówką przyszytą kieszonkę; podobne kieszenie, dają się nieco niżej, na obu przodach podług ryciny. Wszytkie szwy podwójne, dwa razy przestembnować trzeba. Pod guziki i dziurki, podszywa się 8 cent.



N. 8. Stanik z fałdami podłużnie wycięty. — Krój na dodatku N. XII Fig. 44—47.



N. 9. Koronka w listeczki. N. 10. Koronka z sutaszu w szydełkowe pikoty.



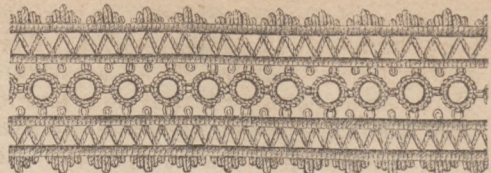
N. 3. Przepaska na serwetę.

szeroka, prosta listewka, lekko podbrąziona. Brzeg paltota podszyć trzeba 2 cent. szerokim ukosem z dwóch stron przystembnowanym; podobnie stembnówki, dają się na przodach. Ukosem przestembnowaniem u dołu podbite rękawy, lekko się nadmarszczą w górę, ażeby dobrze wpadły w pachę.

N. 12. Kostium dla pań na wycieczki w góry.

z magazynu p. Kieffer w Paryżu, Boulevard des Italiens 27.

Numer ten poświęcamy młodym turystom, którym chęć wrażeń nieograniczająca się na wygodnej jeździe powozem, konno lub na mułach, podała myśl pieszej wycieczki w góry. Kostium ten niezabierający wiele miejsca w podróżnym kuferku, można nosić także z wyjątkiem pantalonów, jako okrycie wierzchnie chroniące w drodze od kurzu strojnniejsze jakie ubra-



N. 5. Wszywka z sutaszu i friwolitek „jedną nitką.”

nie. Używają nań materiału pod nazwą „Ecrú” znanego w handlu, płótna, perkalu, pięknie przybranego nawet „z water-proofu” z którego płaszcz od deszczu przyrządzony, dobrze jest mieć na wszelki przypadek przy sobie. Szerokie pantalone dochodzące aż do wyśkich sznurowanych bucików o po-



N. 7. Uczesanie z przepaską.

dwójnej podeszwie, zapinają się z przodu lub na bokach, zachowując zwyczajną formę majtek. Na długą bluzkę z obcisłymi ramiączkami, można użyć formy nocnej koszuli, podanej pod N. II Fig. 6—10 na dzisiejszym dodatku, przydając tyle, ile potrzeba do spinania przodów. Garnirunek składa ją falbanki i przystembnowane piersi lub torsadka. Na perkal mogą to być paski odmienne, per-



N. 11. Letnie męskie ubranie. — Krój na dodatku N. IX. Fig. 26—31 A.—F.



N. 12. Kostium dla pań na wycieczki w góry.

kalowe, co ozdobić wygląda. Ze względów sanitarnych, radzimy pod majtki ciepły flanelowy pas, pod bluzkę flanelowy kaftan, bo na wysokościach atmosfera zawsze zimna. Okrągły duży kapelusz do podwiązywania, wygodne płóciennie lub perkolowe rękawiczki, dopełniają tego oryginalnego kostiumu.

N. 13. Okrągły kapelusz z wielkim woalem.

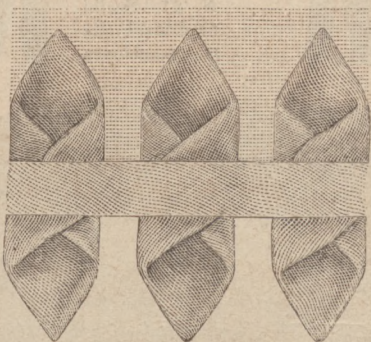
Talerzykowa forma kapeluszy przybranych bo-



N. 13. Okrągły kapelusz z wielkim woalem.



N. 16. Wycięta bluzka z karoczkami.—Krój na dodatku N. X, Fig. 32—41.



kwiaty na boku, mogą się zmieniać stosownie do całości i kolorów toalety. Pod kołkiem dane są dwie pętelki gumowe zapinane na guzik. Do praktyczności tego kapelusza, przyczynia się wiele na czoło spadający woal. Tworzy go kwadratowa kolorowa chustka z kaszmiru, muslinu podbitego kolorowym „linon” lub marseliną; stosownie do materiału, daje się jako brzeżek koronkę przydzierganą i w miejsce szlaczka, do wełny aksamitnej,

torsadkę, do muslinu koronkową wszywkę. Chustka 50 cent. w kwadrat trzymająca, przypina się jednym rogiem pod główkę kapelusza, a przewłókszy przez dwie dziurki gumkę wpierw wspomnianą, dobrze się trzyma w koło twarzy, łatwo zdejmując i wkłada.

N. 14. Ubranie małej dziewczynki.

Krój sukienki na dodatku N. IV. Fig. 14—18 a—18 a—f; baskiny N. V. Fig. 19—20 g—k.



N. 14. Ubranie małej dziewczynki. — Krój sukienki na dodatku N. IV. Fig. 14—18.—Baskiny N. V. Fig. 19—20.

gato czarną koronką, bardzo się okazała ładną i praktyczną. Model nasz objęty wązko aksamitem, podobity jest białą marseliną. Czarne kokardy ze wstążki dopełniają ubrania z szerokiej koronki na wierzchu,

N. 15. Bluzkowy fartuszek w kliny dla dzieci.—Krój na dodatku N. XIII Fig. 48—50.

Sukienka muslińska w kolorowy rzucik, dopełniona szmizetką białą muslinową z rękawami. Na sukience idzie jeszcze tunika przyrządzona podług fig. 19—20, którą u dołu ozdabiają ząbki i przystębnowane dwa ukosy i wszyta koronkowa wszywka.



N. 17. Wycięta bluzka z karoczkami.—Krój na dodatku N. X Fig. 32—41.



N. 18. Chustkowy abdelkader.—Krój na dodatku Fig. XI. N. 42—43. N—O.

Pasek i szarfa „baby“ z wstążki w kolorze rzucików muslinku, uzupełniają ten letni kostium. Kape-lusik słomiany ubrany wstążką, buciki z piaskowej skóry.

N. 15 Bluzkowy kliniasty fartuszek dla dzieci.



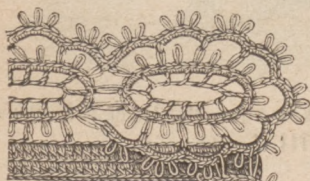
Krój na dodatku
XIII fig: 48—50.

Modelik nasz ubiera-ny białym sutaszem i tasiemką w zęby, jak na rycinie 15. zapina się z tyłu i przykrawa z po-pielatego angielskiego płótna, zeszywając poje-dyncze cząstki szwem francuzkim, stosownie do odpowiadających li-ter. Pasek $4\frac{1}{2}$ cen-tymetrów szeroki, z za-tyśniętym końcem, wykrój pachy, jak również 6 cent. szeroka falbanka, obejmują się 1 i pół cent. szeroką białą tasiemką. Dolny brzeg fartuszka przestembnowy- wa się białą przędzą po nad falbanką. Długości 58 cent. dochodzący, 1 cent. szeroki, prosty, obstembnowa-ny pasek, obejmuje wykrój szyi. Plecy obrabione z brzegów, w od-stępach 8 cent. od każdego ramiącz-ka, marszczą się tak, żeby tylko 6 cent. zajmowały.

N. 21. Sposób składania kwadratowej chustki na letni kapturek.

okrągłym końcem, wykrój pachy, jak również 6 cent. szeroka falbanka, obejmują się 1 i pół cent. szeroką białą tasiemką. Dolny brzeg fartuszka przestembnowy- wa się białą przędzą po nad falbanką. Długości 58 cent. dochodzący, 1 cent. szeroki, prosty, obstembnowa-ny pasek, obejmuje wykrój szyi. Plecy obrabione z brzegów, w od-stępach 8 cent. od każdego ramiącz-ka, marszczą się tak, żeby tylko 6 cent. zajmowały.

N. 16 i 17. Wycięta bluzka z ka-roczkami.

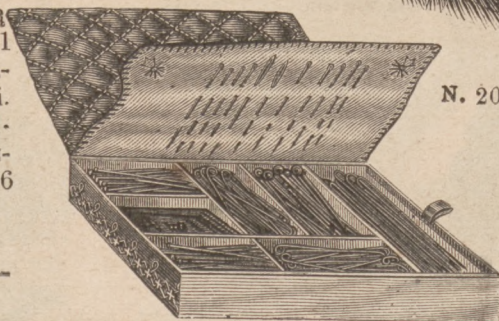


Krój na dodatku
N. X. Fig. 32 —
41 G—M.

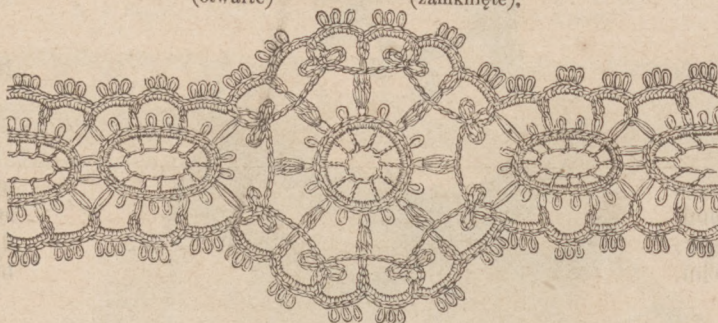
Bluzka ta przy- brana na koronką, wszywką i atłas- wemi kokardami, odznacza się bertą i ka- roczkami, co na rycinie 16 (przód) i 17 (plecy) do- kładnie ro- zeznać moż- na. Poje-



N. 20. Letni kapturek.



N. 22 i 23. Pudelecza do szpilek z przykrywką.
(otwarte) (zamknięte).



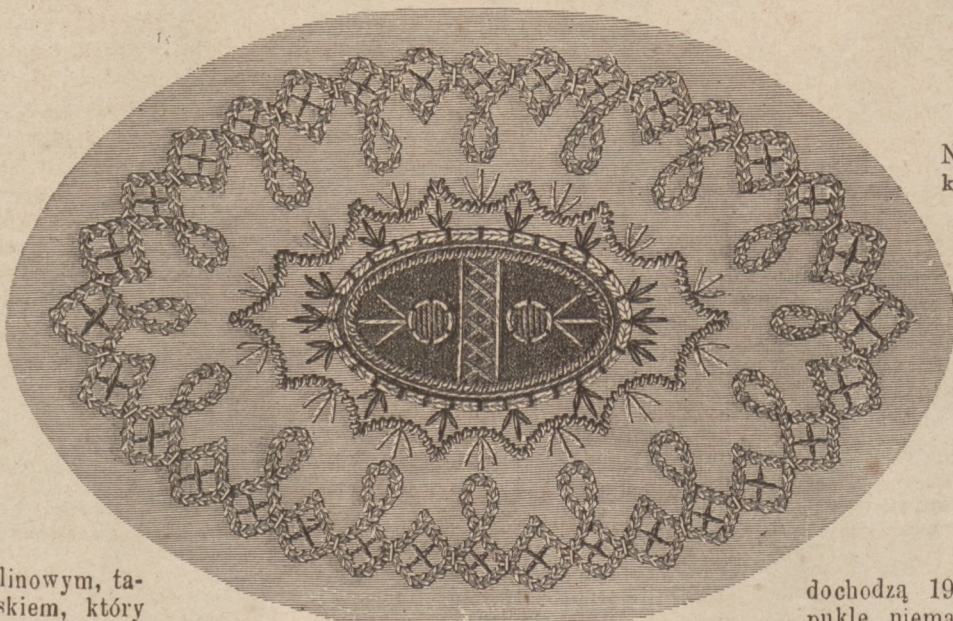
N. 25. Mankiet do kołnierzyka N. 8. w N. 35 Tyg. Mód.



N. 27. Szelki na drutach dla małego chłopca

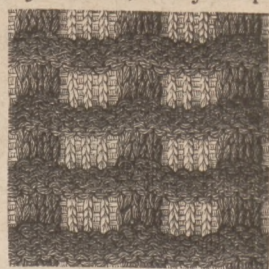
N. 24. Koniec barby do kołnierzyka N. 8. zamieszczonego w N. 35 Tyg. Mód.

dyncze, zaokrąglone cząstki formu- ją bertę i karoczek. Podług fig. 32, skrajane przody, otrzymują z każdego brzegu na przodzie 2 cent. szeroki obręb, 5 zakładek wąskich, załamanych tylko tak w górze jak u dołu, przesytych poprzecznie i 3 fałdy niby zaszewki, przy samym dole. Plecy Fig. 33, ściągają się podług figury w samym środku u dolnego brzegu. Obiedwie części francuzkim szewkiem spojęne, ob- ciskają się 2 i pół cent. szerokim muślinowym, ta- siemką do ściągania podwleczonym paskiem, który z wierzchu przyszyca trzeba. Podług N. 16 i 17, ubrać należy, krótki rękawek (fig. 24), podpięty 2 fałdkami



N. 29. Wyszycie na pudełka, teczki etc.

w górze, a 1 u spodu. Dół podobnie jak przy bercie i karoczku, oszywa się $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką ko- ronką i haftowanym szlaczkiem. Części berty Fig. 35—37 układają się na bluzce stosownie do nume- rowanych gwiazdek; przyszycie jej pokrywa garnirunek z 2 cent. szerokiego tiulu, kolorowo atłasem podwle- czonego i 1 cent. szerokiej koronki, których spoje- nie kryje się pod hafto- wany szlaczkiem. Ka- roczek Fig. 38 — 41 zmarszczony cokolwiek przyczepia się do paska b l u z k i, stosownie do przypadających gwiaz- dek. Można także po- jedyncze części tej bas- kiny, bardziej jedna na drugą zakładać. Pasek i kokardy z końcami wystającymi do góry, ozdabiające na przodzie i na ramionach bluzkę, robią się z 3 cent. szerokiej atłasowej wstążki; potrzeba na taką kokardkę, dwóch 9 cent. długich w ząb wyciętych końcy, i trzech in- nych po 5 i 4 cent. trzymających, które łączy jeden węzeł. Podobne zakończenie z 7 cent. szerokiej at- lasowej wstążki, widzimy u paska; długie końce pod baskinę zachodzą- ce, liczą 30 c. długości, resz- ta wynosi 12 do 6 c. tylko.



N. 28. Robota drutowa na szelki N. 27.

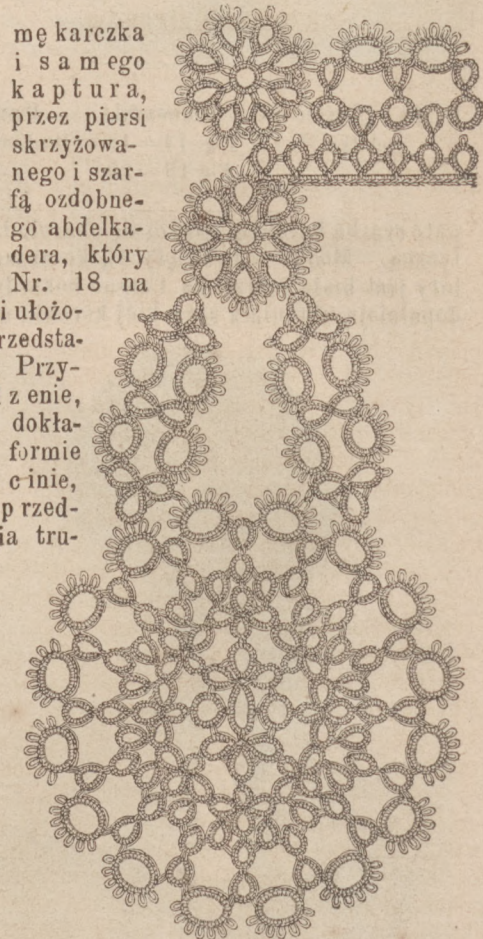
N. 18. Chustkowy abdelkader.

Krój na dodatku N. XI Fig. 42 do 43. N.—O.

Fig. 43 na dodatku, podaje for-

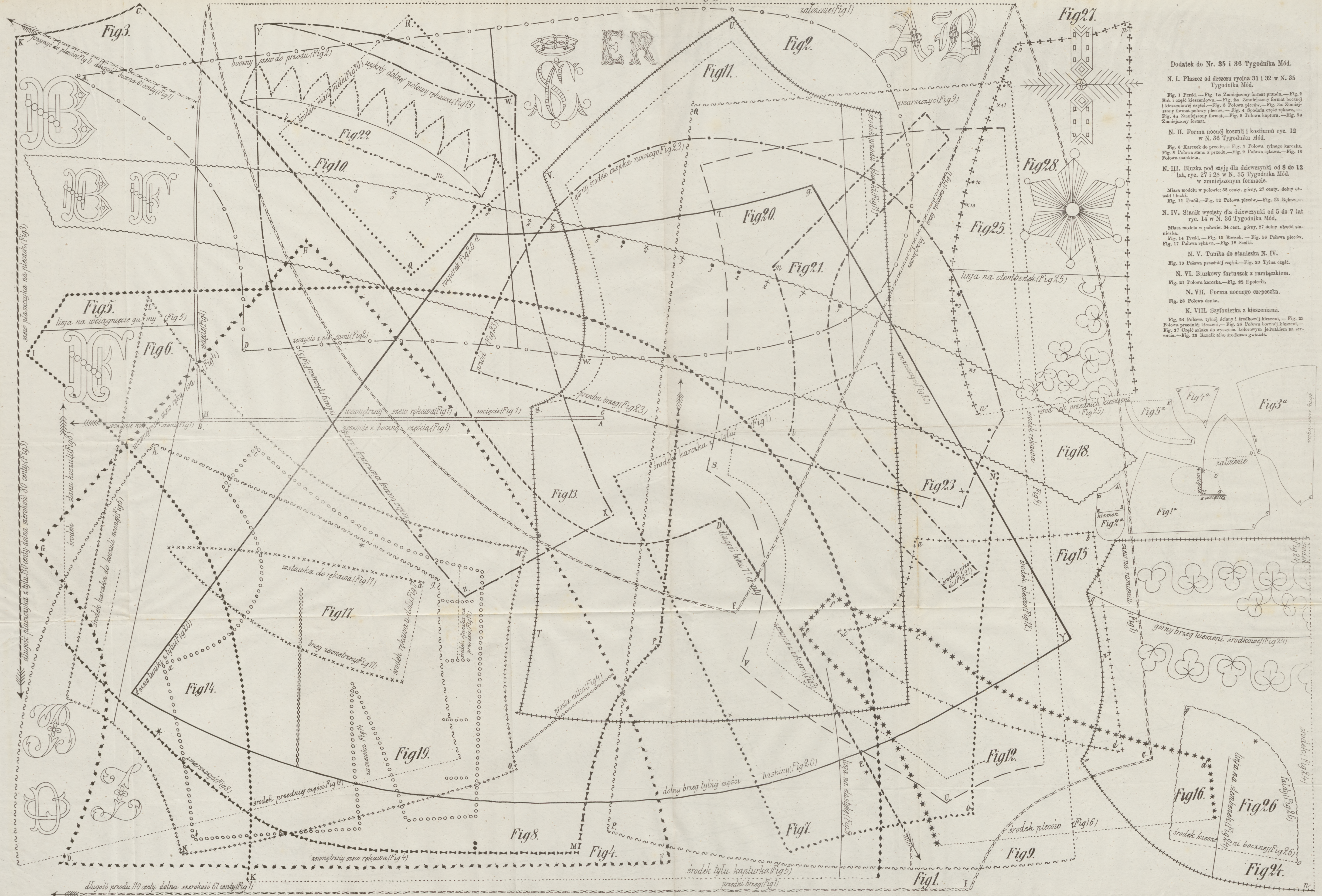
mę karczka i s a m e g o k a p t u r a, przez piersi skrzyżowa- nego i szar- fą ozdobe- no abdelka- dera, który Nr. 18 na

sukni ułożo- ny przedsta- wia. Przy- rzą d z e n i e, przy dokła- dnej formie i r y c i n i e, nie przed- stawia tru-



N. 26. Koniec barby do friwolitkowego kołnierzyka N. 7 w N. 35 Tyg. Mód.

dnosci. Brzeg i odciecie niby krój kaptura ozdabia podwójny rzą- dek ząbków, podanych w natural- nej wielkości pod N. 19. Brzeg przodu, szarfę i wykrój szyi, oszy- wa listewką, z jednej strony ma- jąca tylko ząbki. Obadwa naj- dłuższe końce szarfy, liczą 63 cent. długości, a 21 szerokości, trzy krótsze końce 24 cent. dłu- gie, mają $19\frac{1}{2}$ szerokości, obydwie pukle w całości 21 cent. długie, dochodzą $19\frac{1}{2}$ cent. szerokości. Węzła łączącego pukle niema, zastępuje go szpic kaptura przyczep- piony nieznacznie na kokardzie.



Dodatek do Nr. 35 i 36 Tygodnika Mód.

N. I. Płaszcz od deszczu rycina 31 i 32 w N. 35 Tygodnika Mód.

Fig. 1 Przód. — Fig. 2a Zmniejszony format przodu. — Fig. 2b Boki i części kieszeni. — Fig. 2c Zmniejszony format boku i kieszeni. — Fig. 3a Zmniejszony format połowy pleców. — Fig. 4a Zmniejszony format. — Fig. 5 Połowa rękawa. — Fig. 6a Zmniejszony format.

N. II. Forma nocnej koszuli i kostiumu ryc. 12 w N. 36 Tygodnika Mód.

Fig. 6 Karzełek do przodu. — Fig. 7 Połowa tylnego karzełka. — Fig. 8 Połowa stanu z przodu. — Fig. 9 Połowa rękawa. — Fig. 10 Połowa mankieta.

N. III. Bluzka pod szyję dla dziewczynki od 8 do 12 lat, ryc. 27 i 28 w N. 35 Tygodnika Mód. w zmniejszonym formacie.

Miara modelu w połowie: 38 centy, górny, 27 centy, dolny obwód bluzki. — Fig. 11 Przód. — Fig. 12 Połowa pleców. — Fig. 13 Rękaw. — Fig. 14 Przód. — Fig. 15 Borek. — Fig. 16 Połowa pleców. — Fig. 17 Połowa rękawa. — Fig. 18 Szalik.

N. IV. Stanik wycięty dla dziewczynki od 5 do 7 lat ryc. 14 w N. 36 Tygodnika Mód.

Miara modelu w połowie: 34 cent, górny, 27 centy, dolny obwód stanika. — Fig. 14 Przód. — Fig. 15 Borek. — Fig. 16 Połowa pleców. — Fig. 17 Połowa rękawa. — Fig. 18 Szalik.

N. V. Tanka do stanika N. IV.

Fig. 19 Połowa przedniej części. — Fig. 20 Tylna część.

N. VI. Bluzkowy fartuszek z ramiączkami.

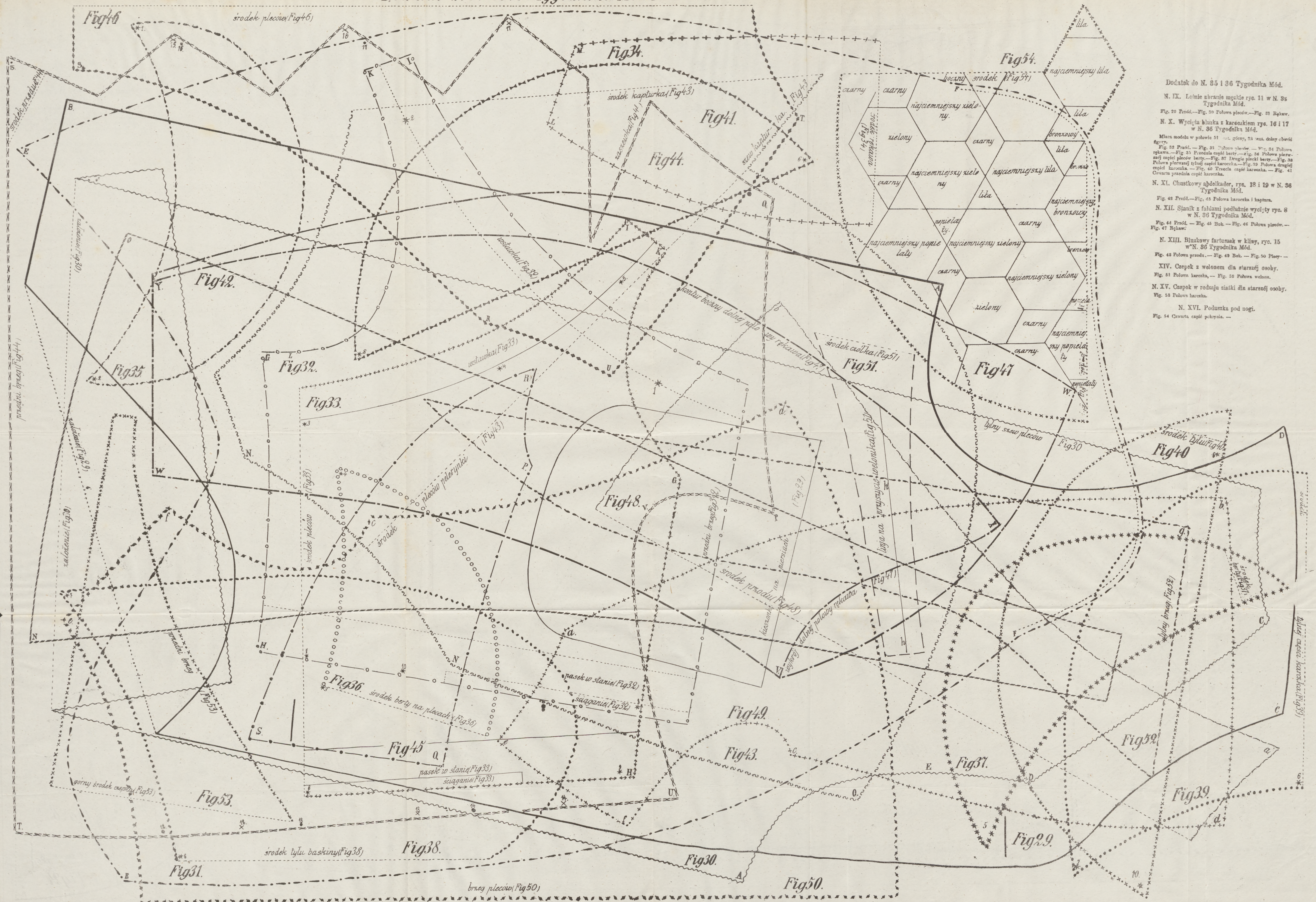
Fig. 21 Połowa karzełka. — Fig. 22 Epoleciek.

N. VII. Forma nocnej czepczki.

Fig. 23 Połowa denki.

N. VIII. Szyfonierka z kieszeniami.

Fig. 24 Połowa tylna i śródkowej kieszeni. — Fig. 25 Połowa przedniej kieszeni. — Fig. 26 Połowa bocznej kieszeni. — Fig. 27 Część szlaku do wyszycia kolorowym jedwabiem na serwie. — Fig. 28 Kształt albo szlakuwa gwiazda.



Dodatek do N. 35 i 36 Tygodnika M^od.

N. IX. Leżenie ubrania męskie ryc. 11 w N. 35 Tygodnika M^od.

Fig. 29 Pród. — Fig. 30 Połowa pleców. — Fig. 31 Rękaw.

N. X. Wycięcia bluzka z karczkiem ryc. 16 i 17 w N. 36 Tygodnika M^od.

Miara modelu w połowie 51 cent. góry 53 cent. dołowy chwyt figury.

Fig. 32 Pród. — Fig. 33 Połowa pleców. — Fig. 34 Połowa rękawa. — Fig. 35 Przednia część białej. — Fig. 36 Połowa pierwszej części pleców białej. — Fig. 37 Druga część białej. — Fig. 38 Połowa pierwszej tylnej części karczka. — Fig. 39 Połowa drugiej części karczka. — Fig. 40 Trzecia część karczka. — Fig. 41 Czwarta przednia część karczka.

N. XI. Chustkowy abdelkader, ryc. 18 i 19 w N. 36 Tygodnika M^od.

Fig. 42 Pród. — Fig. 43 Połowa karczka i kaptura.

N. XII. Słanik z faldami podłownie wycięty ryc. 8 w N. 36 Tygodnika M^od.

Fig. 44 Pród. — Fig. 45 Bok. — Fig. 46 Połowa pleców. — Fig. 47 Rękaw.

N. XIII. Bluzkowy fartuszek w klasy, ryc. 15 w N. 36 Tygodnika M^od.

Fig. 48 Połowa przodu. — Fig. 49 Bok. — Fig. 50 Plecy.

XIV. Czepek z welonem dla starszej osoby.

Fig. 51 Połowa karczka. — Fig. 52 Połowa welonu.

N. XV. Czepek w rodzaju siatki dla starszej osoby.

Fig. 53 Połowa karczka.

N. XVI. Poduszka pod nogi.

Fig. 54 Czwarta część pokrycia.